8 VI 38 CENA 25 GR

SPORT POLSKI

ROK II TYGODNIK Nr 23

BRAZYLIA — POLSKA 6:5



Szczepaniak w walce z Leonidasem

W NUMERZE:

J. BILEWSKI: WYCHOWAWCZE ZNACZENIE GIER — E. MARION: METODA SZKOLNA A ZESPOŁOWOŚĆ PIŁKARSKA — W. FIRSOFF: KRYZYS IDEOLOGICZNY ALPINIZMU — T. DĄBROWSKI: SZLAKI TURYSTYKI WODNEJ NA POLESIU

NIEPOWODZENIE CZY SUKCES?

Nie będzie chyba plagiatem, a tylko wykorzystaniem pewnego przywileju redaktorskiego, jeśli na wstępie powtórzę cytat wzięty z jednego z artykułów, wyczytanych w... obecnym numerze „Sportu Polskiego".

Stanowi on powtórzenie słów, wypowiedzianych na walnym zebraniu Związku Polskich Związków Sportowych przez płk. Glabisza, który po ocenie ubiegłego roku sprawozdawczego oświadczył:

„Najlepszą notę wystawił by nam minister spraw zagranicznych, najgorszą — minister spraw wojskowych. A ta jest najważniejsza..."

Czy to prosty zbieg okoliczności, czy może sportowcy nasi wzięli to sobie do serca, ale w chwili obecnej sytuacja jest bezsprzecznie inna. Po zdobyciu przez jeźdźców Pucharu Narodów, po postawie piłkarzy na meczu z Brazylią — pan minister spraw wojskowych nie mógłby sportowi polskiemu wystawić złego stopnia.

Wymieniłem tu, stawiając je niejako na równi, zwycięstwo i porażkę. Czy słusznie?

Według znanej maksymy, w sporcie znaczy tylko wynik. Rozważania na temat, co by było, gdyby było inaczej, podobno jedynie zaciemniają właściwy obraz. Istotny stan rzeczy — to to, co mówią cyfry. Wyrok ich jest ostateczny i nieodwołalny.

Owszem, w sporcie znaczy tylko wynik. Dlatego właśnie polska drużyna piłkarska została już skreślona z listy uczestników rozgrywek o mistrzostwo świata i wraca do kraju, dlatego właśnie zwycięscy Brazylijczycy, którzy lepiej grają od nas — szykują się już do następnego spotkania.

Ale — jeśli w sporcie znaczy tylko rezultat cyfrowy, to owe „okoliczności towarzyszące" mogą mieć duże znaczenie, a nawet znaczenie większe od samego technicznego wyniku, dla tych, dla kogo zewnętrzny sukces sportowy nie jest wartością jedyną, kogo bardziej od kwestii technicznych interesuje pytanie, jakimi cechami moralnymi, jakim hartem duchowym, jakimi wartościami pozasportowymi się reprezentanci młodzieży sportowej wykazali.

W obu wypadkach, przeze mnie wymienionych, sportowcy nasi wykazali się zaletami charakteru takimi, że cała poważna, dojrzała część naszego społeczeństwa, dla której sport jest nie celem samym w sobie, a środkiem do wychowywania dzielnych pracowników i żołnierzy, musi być bardzo zadowolona.

W konkursie o puchar Narodów ekipa polska i niemiecka przez długi czas szły na równi. W tych warunkach — więcej niż kiedykolwiek indziej, sukces ostateczny zależał od tego, kto wykaże w chwili decydującej więcej opanowania nerwowego, więcej siły woli, więcej zaciętego spokoju. Polacy się nie załamali. Żadnego z czterech naszych reprezentantów nie wyprowadziła z równowagi odpowiedzialność, nie wysadziła z siodła trema. Okazali się twardsi od swych przeciwników, którzy przecie bynajmniej nie cieszą się opinią histeryków; wręcz przeciwnie. Stwierdzenie tego faktu jest niewątpliwie radośniejsze od samego zdobycia nagrody.

Innym wynikiem technicznym zakończyły się zmagania naszych futbolistów z „żonglerami" południowo-amerykańskimi. Okazali się zbyt powolni, ustępowali wyraźnie swym partnerom w sztuce manewrowania piłką, w dokładności podań, w znajomości tysięcznych tricków i finezji piłkarskich. A jednak, choć niewątpliwie, niezaprzeczenie gorsi — zdołali aż trzy razy wyrównywać rachunek bramkowy, zdołali tyle nadrobić zapałem, ofiarnością, męstwem i zaciętością, że po 90 minutach gry Fortuna jeszcze się namyślała, komu przyznać zwycięstwo.

Mówi się często, że nie ma porażek „honorowych". Są jednak wyjątki. Wynik strasburski, to nawet nie porażka honorowa, to porażka zaszczytna. Nie łudźmy się: by uzyskać z Brazylią wynik 5 : 6 — drużyna polska musiała wyskoczyć o całą klasę powyżej swych technicznych możliwości, powyżej swej wartości piłkarskiej. Mogła to uczynić tylko dzięki wartościom moralnym, dzięki duchowi, jaki ją ożywiał, dzięki wytrzymałości fizycznej i nerwowej, dzięki odwadze.

Że tak było, a nie inaczej, potwierdza okoliczność, iż pod względem techniczno-piłkarskim zespół nasz wypadł podobno w Strassburgu raczej gorzej, niż podczas niedawnego spotkania z Irlandią. Jeśli więc mimo to dokonał prawie cudu — to tylko zawdzięczając przymiotom moralnym.

Że drużyna nasza te przymioty posiada, to dla PZPN, a za nim dla całego naszego sportu — większy tytuł do zadowolenia, niż jakieś zwycięstwo, osiągnięte li tylko sprawnością techniczną.

Zadaniem organizacji sportowych jest przecie nie wytrenowywanie sztukmistrzów, a wychowywanie silnych ludzi, dawanie krajowi dzielnych obywateli.

Dlatego, z „porażki" brazylijskiej możemy się niezmiernie cieszyć, cieszyć nie mniej, niż ze zdobycia pucharu Narodów.

WIKTOR JUNOSZA



WYCHOWAWCZE ZNACZENIE GIER

Jest rzeczą niewątpliwie stwierdzoną, że dla młodzieży w ogóle, a szkolnej w szczególności, gry sportowe są **najwięcej odpowiednie i najbardziej też pociągające.** Właściwy rozwijającemu się organizmowi podświadomy pęd do ruchu, który musi znaleźć ujście, w żadnym dziale sportu nie ma tak całkowitego i żywiołowego wyładowania jak w grach. To wyładowanie sił jest bardzo celowe i wartościowe nie tylko dla samego ćwiczenia fizycznego, ale przede wszystkim dlatego, że część ich przerabia się na czynne wartości rozwojowe. Sporty, czy to weźmiemy lekką atletykę, czy też boks, czy jakiś inny dział sportów o przewadze czynnika indywidualnego, mogą interesować, ale nie potrafią ani w przybliżeniu tak **entuzjazmować** młodzieży jak gry. Różnica tkwi w tym, że stwarzają one ów przemiły, beztroski nastrój zabawy, wesołości, temperamentu, tak bliski młodości, w wyższej zaś swej formie budzą wprost zapał do gry. Znamieniem zewnętrznym jest wielka radość i zainteresowanie uprawiającej je młodzieży. Ten czynny stan duchowy, który powoduje wyładowanie psychiczne i nerwowe, tak potrzebne wśród żmudnej codziennej pracy umysłowej, gry podtrzymują przez cały czas ich trwania. Młodzież, która ma możność wyżycia się i wyładowania nadmiaru swej energii, staje się **bardziej zrównoważona psychicznie i uspokojona nerwowo.** Owe czynniki natury psychicznej trzeba postawić na równi z wartością gier, jako ćwiczenia fizycznego. Gra więc jest najodpowiedniejszym ćwiczeniem fizycznym dla młodzieży. Młodzież garnie się do gier z zapałem i dlatego powinniśmy dać ich jej jak najwięcej.

Gry wywierają dalej wielki wpływ wychowawczy i uspołeczniający na młodzież i to w wysokiej mierze. Na podstawie nieodpartej organicznej wprost skłonności do zabaw u dziecka od mniej więcej 13—14 lat dominować zaczyna już gra **zorganizowana.** Gry nabierają już więcej cech sportowych. Rodzi się chęć wiązania się w drużyny i zapał do zorganizowania całej wcale skomplikowanej komórki zbiorowej, gdzie jednostki czynne zaprawiają się w kierowaniu, planowaniu i wykonywaniu nakreślonych zadań, poznając wielkie ich trudności, reszta zaś uczy się lojalnego podporządkowania swej ambicji, swego egoizmu dla dobra ogółu. Przepiękna dewiza społeczna „jeden za wszystkich — wszyscy za jednego" jest oznaką solidarności drużyny i uczy, że wspólny wysiłek wszystkich daje rezultaty. Posłuch prawidłom, które odpowiadają ustawom, przepisom czy rozporządzeniom, — to dalsze ogniwo w tym łańcuchu **walorów społecznych gry.** Wybitni psychologowie stwierdzają też niezbicie ogromną wartość podświadomego urabiania cech społecznych u młodzieży przez grę. Dalszą dominującą cechą gier jest karność, szczególnie wartościowa tak zwana karność obywatelska, bezwzględna, prawie żołnierska. Polega ona na tym, że grający słucha przywódcy drużyny i podporządkowuje się bezwzględnie przepisom. Ten dobrowolny posłuch przepisom jest znakomitą szkołą do opanowania nerwowego, które tak ważną rolę odgrywa w późniejszej szkole życia. To są główne walory wychowawcze gier.

Gry są doskonałą szkołą życia dla młodzieży, przygotowującą do organizacji społecznej, gdyż są pomniejszonym jej odbiciem (podział czynności, karność itd.). Gry wyrabiają sprawność działania, a nawet wychowują społecznie.

Wychowawca zdolny i sumienny ma tu atuty w ręku większe, aniżeli się nieraz przypuszcza. Siły, tkwiące w młodym ustroju, wychowawca odpowiednio kieruje, opanowuje i zaprzęga do służby idei ogólnych. Trzeba je tylko umiejętnie wykorzystać. Nie jest to rzeczą prostą, wymaga bystrej spostrzegawczości i odpowiedniego pokierowania grającymi, bo młodzież zapomina w zapale walki o wielkich hasłach. Nie można zapominać również o tym, że obok dodatnich, gry mogą rozwijać i cechy ujemne. Odnosi się to do gier **źle prowadzonych lub niedozorowanych,** które budzą często cechy ujemne, jak brutalność, nielojalność wobec przeciwnika, niekarność wobec przepisów czy zacietrzewienie w grze. To trzeba tępić od początku. Wychowawca powinien spokojnymi uwagami, wyjaśnieniami przepisów, a czasem własnym przykładem urobić odpowiedni nastrój, w którym będzie się rozwijać gra dżentelmeńska. To warunek sine qua non. Szczególnie opornych trzeba nawet karać w ramach przepisów sportowych, a nawet w razie potrzeby — szkolnych kar porządkowych. **Nikt tak jak szkoła nie jest powołany, nie jest w stanie podkreślić i wprowadzić w czyn wychowawczej strony gier.**

Współzawodnictwo posiada ogromne znaczenie wychowawcze, lecz musi ono być nacechowane szacunkiem dla przeciwnika, z uszanowaniem jego ewent. wyższości; w razie przewagi własnej **zachowanie winno być tym skromniejsze, im zwycięstwo jest większe.** Jak bardzo jednak trudno o to u nas, jak dalecy jesteśmy od tego ideału! W Ameryce istnieje piękny zwyczaj, że po zawodach nie zwycięzca, a zwyciężony pierwszy składa gratulacje zwycięzcy i cieszy się szczerze jego zwycięstwem, nawet, gdyby w duszy miał odrobinę wątpliwości co do decyzji sędziów. U młodych ludzi zwycięstwo bywa często powodem do lekceważenia pobitych i nie pięknie objawionej wesołości, przegrana zaś stwarza niesmak, niezadowolenie, a co jeszcze gorsze — nieuzasadnione pretensje. Wzorem poprawności w tym względzie są narody anglosaskie, wychowywane w tym duchu przez dziesiątki lat. Tam rozumieją, że gra to zdrowie, ćwiczenie i radość życia, **wygrana zaś lub przegrana to rzecz drugorzędna.**

Józef Bilewski.

METODA SZKOLNA A ZESPOŁOWOŚĆ PIŁKARSKA

Dążeniem każdej drużyny piłkarskiej jest nawiązanie takiej łączności duchowej pomiędzy graczami, aby wspólne ich zamierzenia pokrywały się w każdej sytuacji i znajdowały wyraz w **zgodnym działaniu.** Celem uzyskania tej zgodności i zapewnienia akcji powodzenia, używa się różnych metod i środków działania. Za najlepsze i za najprędzej wiodące do celu uważa się powszechnie metody, uprawiane przez tych, którzy przewodzą w piłce nożnej. A więc wzorem godnym naśladowania są dla wszystkich wielkich czy małych **zawodowcy angielscy.** Oni narzucają modę, do której stosują się bez krytyki a nawet bez zastanowienia wszyscy.

Tymczasem zawodowcy wybierają metody, które **im** odpowiadają. Stąd wynika dla naśladujących amatorskich klubów i ich kierunku wychowawczego wielkie niebezpieczeństwo. Już samo zestawienie leadera I Ligi angielskiej z C-klasowym KS „Gromem" z Koźlich Nóżek nasuwa wątpliwości, czy metoda treningu **mistrza** będzia odpowiednia dla piłkarskiego **niemowlęcia.** Poza tym między obiema drużynami leży wielka przepaść wykształcenia i umiejętności. Zawodowcy z chwilą zaangażowania się do drużyny muszą już mieć skończone wykształcenie piłkarskie, a jeśli trenują to tylko dlatego, aby **utrzymać** swoją wysoką formę. Zaś amatorzy, zwłaszcza ci młodzi, muszą przede wszystkim **kształcić się** technicznie i zespołowo. Z tych różnic zasadniczych wynikają dla jednych i drugich odmienne metody treningu.

Zawodowcy współcześni hołdują praktycznej metodzie ćwiczenia zespołowości. Czy i dla nich także jest ona odpowiednia w 100%, można by się spierać. Ale amatorzy względnie piłkarze o żadnym lub o nieukończonym wykształceniu znajdują się niewątpliwie na mylnej drodze, jeśli stosują tę metodę w kształceniu zmysłu zespołowości. Dla nich pozostaje wyłącznie **metoda szkolna,** która polega na powszechnym nauczaniu elementów gry, tj. wszystkich możliwych podań oraz sposobów ustawiania się dla przyjęcia piłki z uwzględnieniem pozycji przeciwnika, nie podczas gry na 2 bramki, lecz w drodze **specjalnych ćwiczeń dwójkami bez przeciwnika przeszkadzającego.**

Każda akcja zespołowa opiera się na dwóch graczach, z których jeden podaje, a drugi przyjmuje piłkę. Aby taka dwójka spełniała należycie swoje zadanie, gracze uczą się na przemian podawania i przyjmowania piłki, w sposób właściwy dla danego ćwiczenia, przechodząc wielokrotnie obok urojonych przeciwników (tyczka, chorągiewka). Dzięki powszechności nauczania i jednakowych form ćwiczenia, wszyscy bez wyjątku zdobywają **jednakowe zasady** i te same sposoby postępowania, co sprawia, że zgranie, w ten sposób uzyskane, nie ogranicza się tylko do osób, stale obok siebie grających, ale staje się **wspólną własnością wszystkich,** nawet wtedy, gdy poszczególne jednostki nigdy obok siebie nie ćwiczyły.

Częste ćwiczenie elementów gry doprowadza graczy do takiej doskonałości, że niezmiernie szybko, bez wahania, bez wysiłku i ze zdumiewającą zgodnością wykonują oni akcje, nawet najbardziej skomplikowane.

Przy tej sposobności gracze zapewniają sobie inne ważne korzyści: zdobywają szybkość, wytrzymałość biegową oraz technikę podawania i przyjmowania piłki. Ponadto przyzwyczajają się oni do wychodzenia na pozycję i do ciągłego ruchu, który jest tak ważnym czynnikiem w grze.

Istnieją też pewne kategorie zagrań, bardzo skutecznych, których należyte wykonanie w czasie meczu nie da się pomyśleć bez uprzedniego przygotowania przy pomocy metody szkolnej. Są to akcje oparte na podaniu piłki w przestrzeń, poza plecy przeciwnika, prostopadle lub ukośnie. Wymagają one wiele precyzji w wykonaniu, a zwłaszcza dokładności w wyborze właściwego momentu działania przez obu współgrających. Ważną rolę odgrywają one też w **wyrabianiu pozycji strzałowych,** zwłaszcza w sytuacjach, gdy wszyscy gracze ataku są obstawieni i na pozór pozbawieni możności przeprowadzenia jakiejkolwiek akcji zespołowej z wyjątkiem gry wszerz lub do tyłu. Niestety, zmysł dla wyższej gry obecnie zanikł niemal doszczętnie z powodu powszechnego stosowania metody praktycznej przy wyrabianiu zespołowości.

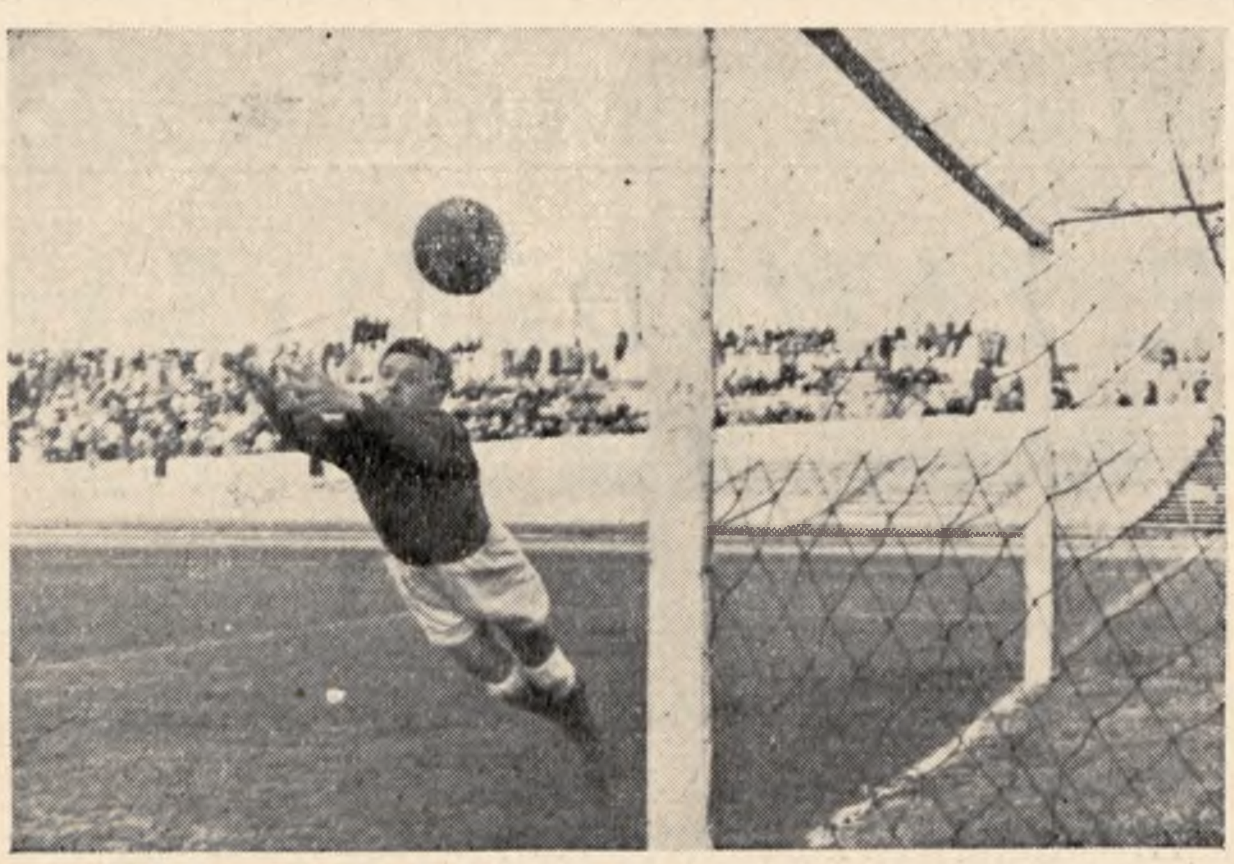
Przy pomocy metody szkolnej można łatwo nauczyć się rzeczy nawet najtrudniejszych. Nawet jednostki mniej uzdolnione, dzięki częstemu powtarzaniu elementów danego ciągu, pojmują wreszcie jego sens i wykonują go niegorzej niż gracze z talentem. Zdobyty w ten sposób wielki zapas zasad i elementów gry oraz cały szereg doskonałych ciągów zapewnia wszystkim bez wyjątku członkom drużyny bogaty repertuar zagrań, który pozwala im wyjść obronną ręką z każdej, nawet najcięższej sytuacji.

W drużynie ćwiczonej wedle zasad metody szkolnej nie ma rozległej skali wartości i użyteczności poszczególnych graczy ani też gwałtownych skoków w formie całego zespołu. Systematyczne bowiem ćwiczenie elementarnych zasad dostarcza wszystkim jednakowej, konkretnej wiedzy i treścią swoją wyrównuje w znacznej mierze różnice, wynikające ze stopnia indywidualnego uzdolnienia, a całemu zespołowi przynosi spokój i opanowanie. Natomiast czynniki natury psychicznej, które wybitną rolę odgrywają w improwizacji nowoczesnej zespołowości, tracą wiele na znaczeniu u drużyn, ćwiczonych metodą szkolną, która nieobliczalny i niepewny zmysł improwizacji, zanikający zupełnie w momentach załamania psychicznego, zastępuje wyćwiczoną dokładnie i dlatego **nie zawodzącą nigdy** umiejętnością konkretną.

Metoda szkolna, stosowana w wychowaniu graczy od samego początku, daje im już w najmłodszym wieku solidne, stałe podstawy, wskazuje im wyraźnie właściwy kierunek i podsuwa niemal automatycznie właściwe środki działania, a tym samym nie pozwala im schodzić na manowce, tracić niepotrzebnie czas i siły i chroni ich przed zmanierowaniem. Dlatego też gracz, który wyrósł na zasadach tej metody wychowania piłkarskiego, odznacza się stanowczością decyzji, szybkością, dokładnością w grze, łatwością w odgadywaniu zamiarów partnera i tą naturalną swobodą, która u widza wywołuje wrażenie, że piłka nożna jest grą łatwą.

Metoda szkolna kroczy po drogach **wypróbowanych, pewnych,** rozpowszechnia formy jasno i wyraźnie sprecyzowane i prowadzi do celu nieomylnie, w czasie najkrótszym.

Edmund Marion.



Albański robinsonuje.

KRYZYS IDEOLOGICZNY ALPINIZMU

Alpinizm był zawsze szczególnie czuły na jednym punkcie — bolało go bardzo, gdy ktoś ośmielił się nazwać go sportem. Skoro jednak za sport będziemy uważali wszelkie bezinteresowne uprawianie ćwiczeń fizycznych, ujętych w pewien naturalny lub sztuczny system, trudno pojąć o co tu właściwie chodzi. Bo też logicznie **alpinizm jest niewątpliwie sportem,** a źródło drażliwości leży gdzie indziej. Kluczem do niego jest wspomniany w naszej definicji wyraz „bezinteresowne“. Rozumieć go można na różne sposoby. I tak, można przyjąć, że wyraz ten oznacza takie sporty, które nie dają uprawiającym je korzyści materialnych. Dojdziemy wtedy do pojęcia amatorstwa, o które kruszy się kopie we współczesnej prasie sportowej. Można przypisać mu znaczenie szersze — bezcelowości z utylitarnego punktu widzenia. Wtedy na przykład robotnik, który buduje most bez wynagrodzenia, nie będzie sportowcem. Lecz nie będzie sportem w ścisłym tego słowa znaczeniu i narciarstwo weekendowe, uprawiane świadomie gwoli lepszego trawienia. Trzeba tu jednak być ostrożnym z nadmierną ścisłością, bo **nie można ze sportu wyeliminować momentu użyteczności w postaci korzyści zdrowotnych czy rozrywkowych,** które przecie też są wartościami, a zatem mogą być traktowane utylitarnie. Zgódźmy się na to, że przez bezinteresowność sportu będziemy rozumieli, iż nie jest on w zwykłym tego słowa znaczeniu czynnością utylitarną.

Istnieją jednak różne stopnie bezinteresowności. W naturze sportu leży współzawodnictwo, które w konsekwencji prowadzi do rekordu. Współzawodnictwo to może mieć charakter bezpośredni, jak np. na turnieju, lub zamaskowany, jak przelicytowywanie się trudnością przejść alpinistycznych, za które np. we Włoszech daje się nagrody. Otóż współzawodnictwo dążące do zwycięstwa nad konkurentem, przynoszącego bądź to namacalną nagrodę sportową, bądź to satysfakcję teoretyczną sławy i rozgłosu, w rozumieniu alpinistów stwarza element interesowności, przeciwny wysokim ideałom tej sztuki, która polega na **czystym zmaganiu z przyrodą,** z wyeliminowaniem wszelkiej walki z ludźmi, chociażby w najbardziej oderwanej formie. Wyraz tej ideologii daje generał Younghusband w przedmowie do sprawozdania z jednej z wypraw na Mount Everest, gdy powiada, że równie chętnie, jak Anglika, powita na najwyższym szczycie świata alpinistę każdej narodowości.

Alpinizm, a u nas jego gałąź taternictwo, wykształcił się w swoich początkach jako sport nawskroś arystokratyczny, uprawiany przez nieliczne jednostki o wysokich ideałach dżentelmeństwa i dodajmy — zasobnej kieszeni. Ten charakter zachował on dotąd w Anglii.

Z czasem jednak nastąpiła powolna demokratyzacja tego sportu, która z jednej strony doprowadziła do rozkwitu popularnej „łatwej“ turystyki górskiej, z drugiej zaś dopuściła do krainy lodowców i wysokich turni tak zwane „masy“. Te „masy“ miały mniej wyrobione odczuwanie estetyczne i moralne i przeniosły z popularnych sportów boiskowych, takich, jak np. piłka nożna, nastawienie na współzawodnictwo, nie wolne od pewnej demagogii, które na terenie gór przerodziło się w **rekordomanię** podbarwioną dziennikarską sensacją. I to właśnie miał być ten „sport“ wdzierający się jako coś podlejszego gatunku we wzniosłą dziedzinę prawdziwego alpinizmu.

Równocześnie z masowością, zawsze bardzo względną, powstała teoria i biurokracja alpinizmu, dążąca do uczynienia z niego „sportu uporządkowanego“, o ustalonych przepisach i konkursach. Część tego zjawiska była konieczna, a inna część nieunikniona. Bez względu jednak na to, jakie wobec nich zajmiemy stanowisko, są to fakty, przed którymi skryć się nie można i nie ma celu.

Warto jednak postawić sobie zasadnicze pytanie, co z „tym fantem zrobić“. Z jednej strony utrzymanie wysokiego dostojeństwa moralnego dawnego alpinizmu jest niewątpliwie szczytne i **godne polecenia.** Z drugiej jednak — nie można ludziom zabronić chodzić po górach w tym celu, żeby kilku innych wychowywało się na dżentelmenów.

Pewnym kompromisem w tej dziedzinie było stworzenie instytucji **kursów alpinizmu.** Kursy takie urządzają obecnie wszystkie prawie kluby alpejskie świata, a od dwóch lat z inicjatywy Koła Zakopiańskiego i nasz Klub Wysokogórski PTT. Oprócz przyswojenia wychowankom techniki wspinaczkowej i zasadniczych wiadomości o górach, zadaniem tych kursów jest także dbanie o podniesienie moralnego poziomu „narybku taternickiego“ przez zapoznanie go z dawną tradycją alpinizmu.



Zjazd

Kursy taternictwa prowadzone przez Klub Wysokogórski wykazały od razu swoją żywotność; obecnie powstały liczne mniej lub więcej udane naśladownictwa w postaci kursów racjonalnej turystyki górskiej, organizowanych przez rozmaite towarzystwa. Nie mówiąc już o tym, że często kursy te wykazują zasadniczą wadę zbytniego pośpiechu i braku przygotowania ze strony instruktorów, należy organizatorom ich zwrócić uwagę również i na moralną stronę „wychowania taternickiego“, która obecnie w Tatrach, a także i w Alpach, **wyraźnie szwankuje.**

W. A. Firsoff.

ROZWÓJ NASZEGO PŁYWACTWA

Ważność pływania z punktu widzenia obrony państwa, z punktu widzenia zdrowia jego obywateli czy też z punktu widzenia bezpieczeństwa ich życia **(w Polsce tonie rocznie 3.000 ludzi)** jest powszechnie uznana.

Nie każdy jednak, kto się interesuje tym sportem i należycie go docenia, zna jego stan obecny i kierunek jego rozwoju.

Niech więc tych kilka słów przyczyni się do rzucenia światła na tak ważną gałąź naszego sportu.

Przed 15 laty w 1923 roku odbyły się pierwsze mistrzostwa Polski na stojącej wodzie, które dały następujące wyniki:

100 m st. dow — 1:28,6, **400 m st. dow.** — 7:21,8, **200 m st. klas.** — 3:38,4.

Po 15 latach wyniki nasze we wszystkich konkurencjach znacznie się zmieniły i dziś osiągamy w tychże konkurencjach: 0:59,8 (1937); 5:16,0 (1936); 2:52,6 (1938).

Porównanie wyników z przed 15 laty z wynikami późniejszymi pozwoli na wyciągnięcie zasadniczego wniosku: stale idziemy naprzód, doganiając czołową grupę państw Europy, a z każdym rokiem różnica między nimi i nami znacznie maleje. Praca ludzi, którzy kierowali przez te 15 lat naszym pływactwem, nie poszła na marne, praca ta położyła mocny fundament pod ten sport, a skutki jej w formie takich lub innych sukcesów nie dadzą na siebie długo czekać.

Od kilku lat PZP prowadzi statystykę pływactwa w Polsce, oraz kartoteki wszystkich zawodników.

Z danych tych można przytoczyć następujące cyfry:

na 1.I.34 r. w Polsce było 2.853 pływaków i 708 pływaczek, a więc razem 3.561 zawodników zrzeszonych w 30 klubach,

na 1.I.38 r. ilość ta wynosiła ponad 4.413 zawodników zrzeszonych w 77 klubach.

A więc widzimy wzrost w ciągu 4 lat o 23%. Cyfry wymienione wyglądają na tle naszej liczebności, a zwłaszcza liczebności młodzieży, zbyt mizernie i zdawało by się na pozór, że w istnieniu tej niewspółmierności jest czyjaś wina.

Otóż tak nie jest. Pływactwo nie jest sportem, który się uprawia od dziecka w rodzaju piłki nożnej, względnie biegania. Wymaga ono specjalnego zachodu, nauczyciela, a co najważniejsze — odpowiednich warunków.

Tymczasem fakt, że sezon nasz trwa zbyt krótko, bo tylko 3 miesiące, a w dodatku i w sezonie częstokroć warunki atmosferyczne nie są sprzyjające, zmusza do oparcia sportu o pływalnie zimowe, które powstały dopiero w ostatnich latach, a których w Polsce jest zaledwie 20. Takie pływalnie są na Śląsku, w Warszawie, w Łodzi, w Krakowie, Lwowie, Grodzisku, Przemyślu, Gdyni i Zgierzu. Nie mają ich takie miasta, jak Wilno, które od kilku lat kołacze o pływalnię, Poznań, który ma największą ilość młodych zawodników, wreszcie Bydgoszcz, Toruń itp.

A nawet jeśli weźmiemy sezon letni i te 300 pływalni naturalnych na rzekach czy też sztucznych, to i tu istnieje znaczna niewspółmierność z zapotrzebowaniem.

Jak widzimy, warunki dla pływaka, który aby uzyskać jakie takie wyniki musi trenować, jak i dla klubu, który musi szkolić sobie sam młody narybek, nie są łatwe.

Jakże się przedstawia obecnie rozmieszczenie tego sportu na przestrzeni naszego kraju?

PZP ma 10 okręgów (w kwietniu przybył okręg Poleski w Brześciu n/Bugiem), przy czym liczebność ich na dzień 1.5.38 była następująca: Warszawski — 950 m., 251 k., 1201 zaw. — 16 klubów; Poznański — 881 m., 256 k., 1137 zaw. — 11 klubów; Śląski — 491 m., 169 k., 660 zaw. — 11 klubów; Lwowski — 454 m., 90 k., 544 zaw. — 8 klubów; Krakowski — 280 m., 108 k., 388 zaw. — 12 klubów; Pomorski — 144 m., 40 k., 184 zaw. — 4 kluby; Łódzki — 144 m., 27 k., 171 zaw. — 5 klubów; Wileński 97 m., 31 k., 128 zaw. — 6 klubów; Lubelski — 1 klub. Razem 3441 mężczyzn, 972 kobiety, 4413 zaw., 77 klubów.

Z tego rozmieszczenia pływactwa widzimy wielką dysproporcję pomiędzy Zachodem i Wschodem, dysproporcję, która, niestety, istnieje u nas we wszystkich rodzajach sportu.

Jednym z najbliższych zadań PZP jest właśnie złagodzenie tej dysproporcji, co łączy się przede wszystkim z wyszkoleniem sobie kadr pływackich na kresach, z wyszkoleniem dobrych instruktorów z pośród kresowych pływaków.

Tak się już od wielu lat dzieje, że troską PZP nie jest tylko podniesienie wyników sportowych, ale równolegle z tym szkolenie młodzieży w pływaniu, skokach, a od 2 lat — w **ratownictwie.**

Nic więc dziwnego, że właśnie w tej dziedzinie sportu istnieje ścisła współpraca między PUWF a władzami pływackimi i że właśnie ten dział zdobywa coraz to większą opiekę ze strony Państwa i wojska.

Zagadnienie tu poruszone dobitnie odzwierciadlają słowa płk. dypl. Glabisza na Zgromadzeniu Związków Sportowych w dniu 25.IV.37 r., który, oceniając nasz sport, między innymi, powiedział: „najlepszą notę dał by nam Minister Spraw Zagranicznych, a najgorszą — Minister Spraw Wojskowych..."

Tymczasem naszą ambicją winno być, by ta właśnie cenzura była najlepsza, bo najważniejsza...

Na tym polu mamy dużo do odrobienia. Nasza młodzież, nawet sportowa, nie prezentuje się dziarsko przed pójściem do wojska, nie lubi zimnej kąpieli, nie wytrzymuje zimniejszej aury, unika mozolnej zaprawy i wstrzemięźliwości, nie garnie się do sportów ryzykownych, jak spadochroniarstwo, skoki wieżowe do wody, lotnictwo.

Ten odcinek musimy przede wszystkim zaatakować i to szeroką ławą...

Naczelną dewizą — uchwycenie mas i zastrzyknięcie im zamiłowania do ryzyka i niewygód.

Jak powiedzieliśmy wyżej, okres ubiegły był okresem położenia fundamentów i wyszkolenia kadr instruktorskich. Mieliśmy różnych nauczycieli, a więc Belga van Schelle, Węgra d-ra Histka, prof. Wiesnera i innych.

Jedną z największych zasług poprzednich organizatorów było sprowadzenie do Polski w 1937 r. Amerykanina Howarda Stepp'a. Ten wybitny trener, pracujący w pływactwie od 22 lat i mogący się pochwalić świetnymi wynikami swych uczni w St. Zjednoczonych, przybywa do nas w tym sezonie, ażeby ostatecznie wpoić naszym instruktorom i pływakom swoje zasady, wynikające z długoletniej praktyki.

W związku z przyjazdem tego trenera jeszcze bardziej uwypukla się znaczenie rozszerzenia działalności i objęcia szerszych mas.

Trzeba, by PZP objął nie tylko główne miasta, lecz wyszedł poza ich rogatki, trzeba by wszędzie był ktoś, kto umie nauczyć stylowego pływania, kto by stworzył **kadry dla przyszłych klubów prowincjonalnych.**

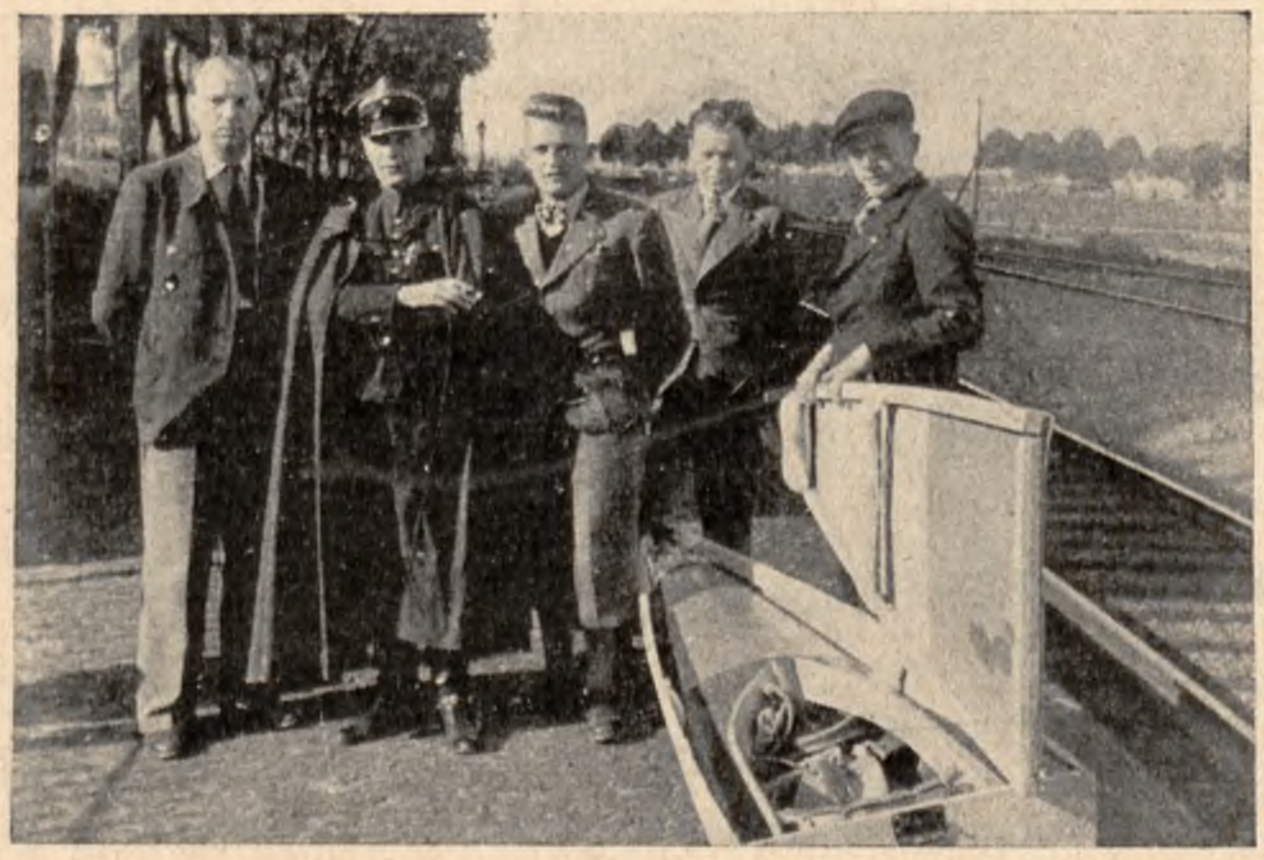
Zagadnienie to łączy się z propagandą, z koniecznością gruntownej znajomości warunków miejscowych, z dużym wysiłkiem ludzi chętnych do pracy, z koniecznością posiadania przez nich entuzjazmu, tak potrzebnego do zwalczenia licznych przeszkód.

Nasze władze pływackie wierzą, iż na prowincji znajdą się ci ludzie, ludzie, którzy w oparciu o ośrodki WF, Komendy PW, miejskie i wojewódzkie komitety WF, koła wychowawców sportowych itp. poprowadzą pływactwo i ratownictwo na właściwe tory.

Czy nadzieje PZP ziszczą się i w jakiej mierze — pokaże najbliższa przyszłość.

S. C.

KURS INSTRUKTORÓW KAJAKOWYCH



Wiceprezes PZK mjr Sekunda, Arndt i Appel.



Sobieraj.

O ile świat sportowy dobrze wie, co to jest tor regatowy — jak się popularnie mówi — w „Brdy Ujściu", którą to nazwę, chociaż takiej miejscowości zasadniczo nie ma, łączy się jakoś z Bydgoszczą, o tyle tylko znający tamtejsze stosunki wiedzą, że nasz najpiękniejszy tor regatowy leży o pełne 10 km od Bydgoszczy w małej wiosce Łęgnowie.

W tymże Łęgnowie zorganizował PZK **kurs instruktorów kajakowych** pod kierownictwem p. Arndta z Berlina, mającego do pomocy p. Appla z Monachium.

Kurs znalazł pomieszczenie w tamtejszej gospodzie „Niespodzianka", posiadającej prócz wygodnych pokoi, dużą jadalnię oraz wielką salę zabawową, w której w czasie deszczów można uprawiać gimnastykę oraz naukę wiosłowania na sucho.

W kursie wzięli udział uczestnicy prawie ze wszystkich dzielnic Polski. Naturalnie, że najsilniej reprezentowane było Pomorze. Nie brak było jednak przedstawicieli Wilna, Lwowa, Warszawy i Śląska. Uczestnicy tego dziesięciodniowego kursu pokrywali w 50 procentach jego koszty, resztę pokrywał PZK.

Praca na kursie szła bardzo składnie. Był to wyjątkowo dobrze dobrany kurs. Wszyscy pracowali z zapałem, a wszelkie zarządzenia kierownika kursu wykonywane były z całą gotowością.

Poza członkami sekcji kajakowych zrzeszonych w PZK udział w kursie wzięli członkowie grona instruktorskiego CIWF p. mag. Jesionka, p. mag. Kluk oraz p. Skępska.

Poziom kursu utrzymany na odpowiedniej stopie dał niewątpliwie **duże korzyści** uczestnikom. „Dwaj panowie A" — Arndt i Appel dokładali wszelkich starań, by czas na kursie był jak najlepiej wyzyskany, a teoretyczne i praktyczne wiadomości stanowiły fundament pracy przyszłych instruktorów sportu kajakowego. Biorąc pod uwagę brak podręczników z tej dziedziny w naszej literaturze sportowej, należało by wyrazić pod adresem PZK życzenie — by **doskonałe wykłady p. Arndta doczekały się wydania drukiem,** gdyż niewątpliwie przydałyby się szerokim rzeszom zawodników i turystów sportu kajakowego.

Odnośnie p. Arndta musimy z zazdrością zaznaczyć, że życzylibyśmy sobie, **by nasza kadra instruktorska tak odnosiła się do zawodników jak ten cudzoziemiec.** Był on nie tylko kierownikiem sportowym i instruktorem kursu. Był przede wszystkim zakomitym opiekunem i wychowawcą powierzonych sobie ludzi. Pierwszy wstawał rano, ostatni kładł się spać. Nie wziął do ust strawy, jeśli nie był przekonany, że wszyscy są należycie przy posiłkach obsłużeni. Nie lenił się przed żadną pracą bez względu na jej rodzaj, byle tylko wszystko — jak mówił — należycie klapowało.

Z okazji kursu odbyły się też w Łęgnowie **eliminacje przed zawodami Polska — Niemcy.** W zawodach wzięło udział kilkanaście osad tak męskich jak też żeńskich. W wyniku zawodów zaznaczyć należy, że w jedynkach klasą dla siebie jest stale niezrównany Sobieraj z Poznania, który bez trudu odniósł zwycięstwo nad swymi konkurentami. W dwójkach para poznańska z KS Surma Bazaniak — Wolniewicz znaleźli dobrych konkurentów w parze poznańskiej z HDWM Nadolnym i Służewskim oraz w parze bydgoskiej z PPW Domarzewskim i Pucią.

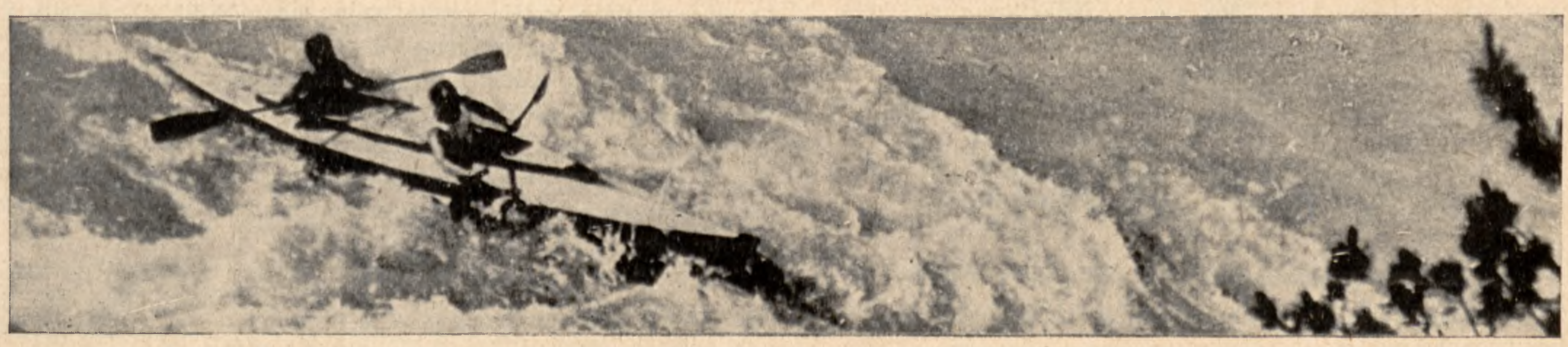
W konkurencjach kobiecych wybiła się na plan pierwszy Prasówna z KPW Pomorzanin.

Odnośnie sprzętu można powiedzieć, że produkowany on jest przez wytwórnie względnie samych uczestników zawodów w bardzo dobrej jakości, a czasy kiedy musieliśmy się posługiwać obcym sprzętem **należą już do przeszłości.** Nasi konstruktorzy, tak zawodowi jak też amatorzy, budują dzisiaj kajaki bardzo wysokiej klasy po przystępnych cenach.

Tegoroczne przygotowania PZK idą po linii systematycznego treningu i rozegrania szeregu zawodów przed mistrzostwami świata, jakie odbędą się w sierpniu br. w Sztokholmie.

Z wyników obecnych — to jest po spotkaniu z Niemcami w Poznaniu oraz eliminacjach w Łęgnowie, wnioskować można, że Sobieraj będzie twardym konkurentem na terenie mistrzostw świata w jedynce, a wtórować mu będzie dwójka poznańska w składzie Bazaniak — Wolniewicz.

M. K.



BRAZYLIA — POLSKA 6:5

Przed czterema laty (w drugich mistrzostwach świata) nie doszliśmy do głównej kolejki! Dziś odpadliśmy z pierwszej rundy po zaciętej walce dopiero w dogrywce ulegając drużynie, uchodzącej ogólnie za **faworyta na mistrza świata.**

Brazylia wygrała z Polską 6:5. W normalnym czasie wynik brzmiał 4:4 (1:3!). Trzeba było dopiero trzydziestominutowej dogrywki, by zmusić Polaków do całkowitej kapitulacji.

Mecz niedzielny był potwierdzeniem tezy, jaką wielokrotnie stawialiśmy na tym miejscu. Brzmi ona więc nadal: Polacy poczynili poważne postępy, **nauczyli się przede wszystkim walczyć!** Na tle fenomenalnych techników brazylijskich braki drużyny naszej były wprawdzie chwilami rażące (gorsze opanowanie piłki, mniejsza szybkość, gorszy start, gorsza orientacja, słabsza gra głową), jednak imponować musiał **hart psychiczny.** A więc zaleta u sportowców polskich do niedawna bardzo rzadka.

Mieć mecz przegrany w czterdziestu pięciu minutach 1:3, wyciągnąć na 3:3, oddać przeciwnikowi znów prowadzenie 3:4, i raz jeszcze wyrównać, do tego potrzeba nie byle jakiej **siły woli i zaciętości.** Nie wspominamy o nerwach, gdyż te mimo wszystko nie były w porządku. W pierwszych kilkunastu minutach nawet ci najruchliwsi poruszali się jakby nogi obciążono im ołowiem. Nie wykazywali ochoty do walki ani dostatecznej energii. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że ruchy Piontka paraliżował niepokój, że Scherfke z respektu wobec przeciwnika nie umie podać najprostszej piłki, że nawet Wilimowski stracił kontenans i nie próbuje wózków ani błyskawicznych tricków, gdyż nie wierzy w możliwość minięcia szybkiego i zwrotnego przeciwnika. Nie wspominamy o Wodarzu. Mając przed sobą słynnego obrońcę Domingosa, z góry rezygnował z walki, czekając na łatwiejsze piłki. Dziwna rzecz, że „nerwy" opanowały przede wszystkim napastników, którzy nie mieli przecież powodu tak się niepokoić, jak formacje przeznaczone do obrony, gdzie świadomość, że najmniejszy fałszywy krok może spowodować katastrofę, wywołać mogła większy niepokój.

To też mimo, że wina klęski spada tradycyjnie na defensywę, ośmielamy się twierdzić, że gdyby napad Polski grał w pierwszych 45-ciu minutach nieco lepiej, gdyby umiał utrzymać piłkę, umiał walczyć o nią, a przede wszystkim pamiętał, że przeciążonym formacjom tyłowym trzeba przyjść skutecznie w sukurs, nie jedno wyglądało by inaczej.

Napastnicy mieli najlepsze chęci, jednak zabrakło im wyczucia, kiedy należy startować, jak się ustawiać i kogo kryć. Stąd wiele niepotrzebnych kroków, wiele wysiłku i... minimalny pożytek. Wprawdzie po przerwie swą zdecydowaną postawą wiele naprawili, jednak sił straconych z początku nie można było nadrobić, a były one tym razem wyjątkowo potrzebne, gdyż mecz zamiast 2 × 45 trwał o trzydzieści minut dłużej.

Gdy w ostatniej minucie Wilimowski raz jeszcze wyrównał, radość nasza była wielka, ale nie zupełna. Rozumieliśmy, iż teraz rozpoczyna się walka, w której szanse raczej będą po stronie twardych kunstmistrzów egzotycznych, którzy grali **z precyzją maszyny,** nieczuli na żadne przejścia. I rzeczywiście! Gracze nasi potrafili fenomenalnym zrywem przemienić niemal klęskę na stan równości, nie mogli jednak w dodatkowych dwu kwadransach zdobyć się na jeszcze jeden nadzwyczajny wysiłek, który mógłby starczyć do zwycięstwa.

Trudno mieć o to do nich pretensję. Ostatecznie przegrać z drużyną lepszą, a taką była bezsprzecznie Brazylia, jest rzeczą normalną. Raziły nas natomiast pewne zasadnicze błędy, świadczące, że na polu taktyki wciąż jeszcze jest bardzo źle, że gra się częstokroć zupełnie bezmyślnie, nie licząc się ani z chwilową sytuacją, ani możliwościami czy to przeciwnika, czy też własnych kolegów.

Jedną z podstawowych zasad piłki nożnej jest **współpraca,** która umożliwia utrzymanie między liniami należytego dystansu. Zwykle ma się pretensje do pomocy, że nie nadąża za atakiem. Dziś mamy żal do napadu, że przez niezaradność nie potrafił odciążyć w porę pomocy i obrony, która mając więcej oddechu, w decydującym momencie dotrzymałaby może kroku przeciwnikowi.

Mamy żal do napastników, że mając przed sobą pomoc brazylijską, wysuwającą się daleko w przód, nie wpadli na pomysł krycia środkowego i odcięcia go tym samym od możności dostawy świeżych piłek własnemu atakowi. A piłek takich było mnóstwo i dzięki nim nacisk ofensywy Brazylii na linje Polski był chwilami zastraszająco długi.

W przyszłości wyszkolenie pójść winno w kierunku **uzupełnienia wiedzy taktycznej.**

Strasburg przeżył w niedzielę swój największy sportowy dzień. Było to **pierwsze międzypaństwowe spotkanie w stolicy Alzacji,** toteż nic dziwnego, że ambicją jej było zaprezentować się jak najlepiej i wywrzeć na przybyszach z dalekich stron odpowiednie wrażenie. Gospodarzom, prześcigającym się w uprzejmości, cel ten udał się całkowicie. Zarówno Polacy jak i Brazylijczycy nie mieli powodów żalić się na gościnność. W pierwszych dniach przyjęcie następowało za przyjęciem, za lampką wina następowały kielichy, kwaśny Riesling zmieniał się z szampanem. Było to zgodne z obyczajami kraju i nie kolidowało ze sportem, gdyż gracze nie brali udziału, pozostawiając pole do popisu oficjalnym delegatom.

Reklama meczu była doskonała. Mnóstwo napisów i ogłoszeń, długie artykuły prasowe przyczyniły się w niemałym stopniu do wzmożenia zainteresowania, toteż o meczu mówiono niemal na każdym kroku, przypatrując się z zainteresowaniem gościom z bliższych i całkiem dalekich stron.

W niedzielę wąskie uliczki Strasburga zapełniły się pojazdami różnych znaków i pochodzenia. Zjechano z okolicy, zjechano z pobliskiej Szwajcarii, łącząc wobec dwu dni świąt piękne z pożytecznym. Przyjechano odpocząć po trudach pracy i skorzystano z okazji, by przyjrzeć się wielkiemu sportowemu widowisku.

Ci którzy przybyli na stadion Meinau nie mieli powodów do żalu. Wprawdzie złośliwy deszcz dał się po przerwie dotkliwie we znaki, jednak w obliczu wydarzeń na arenie zapomi-



Moment pod bramką Polski.



Drużyny Brazylii i Polski.

nało się o wszystkich niedogodnościach. A były one tak emocjonujące, że **porwać musiały nawet najbardziej obojętnego widza.** Zmieniające się jak w kalejdoskopie sytuacje, gwałtowne przeskoki z jednej krańcowości w drugą splatały się w barwny, emocjonujący film, który żywością akcji zapędzić mógł w kozi róg najbardziej pomysłowych autorów scenariuszy.

Kiedy widownia nacieszyła się już fenomenalną grą napadu brazylijskiego, z **pierwszą i niezrównaną gwiazdą Leonidasem** na czele, kiedy myślano w spokoju oddać się kontemplacji i pójść spokojnie do domu, nastąpił wstrząs. Polacy otrzeźwieni deszczem przypomnieli sobie, że rola ich nie może ograniczać się do „zbieraczy bramek" i zabrali się do ripostowania. Wypadło ono aż nadto skutecznie. Brazylijczycy, przyciśnięci nieoczekiwanie do muru, musieli oddać wszystko, co wzięli, a było to tym boleśniejsze, że ostatni kęs przyszło „wypluć" w **ostatniej minucie gry.**

Jeśli pochwaliliśmy na wstępie hart duchowy swoich, to nie mniejsze uznanie należy się i Brazylijczykom. Mimo zmiany sytuacji nie zachwiali się oni ani przez chwilę. Walczyli z obojętnością automatów, nie wzruszając się wypadkami. Z końcem meczu, mając już wygraną w zanadrzu szli z niemniejszym zapałem i zdecydowaniem, niż w pierwszych chwilach, w których brzydko dopiekali przeciwnikowi. Ta ich odporność na nieoczekiwane przemiany jest jedną z dalszych wielkich zalet, szczególnie gdy chodzi o ciężkie walki punktowe, w których system nerwowy jest zwykle przewrażliwiony.

Historia meczu była pełna dramatycznych napięć i ekspresji. Zaczęło się bardzo niewesoło. Gadki o wirtuozowskim żonglerstwie Brazylijczyków okazały się **najprawdziwszą rzeczywistością.** Zanim jeszcze gracze nasi zdołali jako tako się rozkręcić, egzotyczni piłkarze zdążyli już widownię zachwycić serią pierwszorzędnych kawałów, na tle których kunszt polski nie bardzo mógł imponować. Co najwyżej zachwyt wywoływały parady Madejskiego, który w tym czasie okazał się godnym przeciwnikiem „człowieka-gumy" Leonidasa. Środkowy napastnik Brazylii robił co sam chciał. Absorbował osobą swą całkowicie naszą obronę i w 18-ej min. znalazł wreszcie lukę w „gardzie" Madejskiego. Oklaski były huczne i rzetelne. Mniej owacyjnie przyjęto bramkę wyrównującą Polaków w siedem minut później. Egzekutorem rzutu karnego za wyraźny foul na Wilimowskim był Scherfke. Krótko trwała radość w kolonii polskiej, gdyż już w minutę później zgrabny łącznik Romeo podwyższył wynik. I szły ciągle ataki Brazylijczyków, szybkie, zgrabne, pełne temperamentu, wobec których sporadyczne zrywy polskiego ataku mijały zupełnie bez echa. Z chwilą gdy byliśmy przygotowani na przerwę padła trzecia bramka, tym razem ze strony drugiego łącznika Peracio i... nastroje nasze **spadły do zera.**

Tymczasem dobroczynny deszcz zrobił swoje. Brazylijczycy się jakoś całkiem rozkleili. Fenomenalni technicy nie umieli utrzymać się na mokrym boisku, biegi były bardziej hamowane i polski atak miał wreszcie okazję pokazać się. Dwa kombinowane strzały Wilimowskiego wyrównały dystans na 3:3 i zwiększyły nadzieję, że karta się odwróci. Odwróciła się ona rzeczywiście — na korzyść południowych Amerykan, którzy przez Perucię uzyskali znów prowadzenie. Zaczął się teraz **zażarty finisz.** Polacy nie dają za wygraną, atakują i prą, strzelają z pechem lub podle pudłują, jeszcze minuta do końca i... Wilimowski znalazł znów sposób na pobicie wyśmienitego bramkarza brazylijskiego. **Wynik 4:4 i dogrywka 2 × 15 minut bez przerwy.**

Wierzymy w dobrą gwiazdę Polski i... niepokoimy się, czy gracze przetrzymają. Kilka nieostrożnych ciągów z początku oddaje inicjatywę w ręce przeciwnika, a zupełnie zbędny foul Scherfkego kończy się wolnym, odbitym przez Madejskiego do Leonidasa, który skwapliwie korzysta z takiego daru. 5:4. Oczekiwana kontrofensywa Polski ogranicza się do kilku minut, natomiast na 6 min. przed końcem Leonidas znów jakimś czarem forsuje bramkę Madejskiego. Wszystkie nadzieje Polaków rozwiewają się bezlitośnie. Cóż z tego, że jeszcze kilka dobrych ataków idzie na bramkę brazylijską. Jeszcze raz Wilimowski daje o sobie znać, ale jest to już naprawdę ostatni dzwonek i **niesamowity wynik 6:5 rozstrzyga los Polski.**

Odpadliśmy z pierwszej rundy, jednak bez szkody dla własnego prestiżu. Przegraliśmy z przeciwnikiem lepszym, o wysokiej klasie. Przegraliśmy **po zaciętej walce, odgryzając się ile się dało.**

Z graczy naszych wyróżnić należałoby nieustępliwego Dytkę i jedynego pewnego strzelca Wilimowskiego. Scherfke, Piontek i Wodarz słabsi, niż zazwyczaj, Piec dobry w polu, pod bramką bez orientacji. Pomoc przeciętna. Obrona bardzo pracowita i ambitna, jednak na tle szybkiego, doskonałego technicznie **i fizycznie idealnie wyrobionego** przeciwnika zdradziła braki w wykopie. Madejski mimo sześciu bramek jeden z najpopularniejszych graczy na boisku.

Czy warto było jechać do Strasburga? Bezwzględnie tak! **Nie sprawiło się wstydu polskiemu sportowi.**

Observer.

NOWA SZKOŁA... KTÓRA JEST STARĄ

W numerze 18. tygodnika „Sport Polski“ ukazał się artykuł p. Cejzika p. t. „Rewelacyjne wahadło“, artykuł naprawdę rewelacyjny z kilku względów.

Z artykułu p. Cejzika wynika jasno, że nie zna on szkoły niemieckiej w skoku o tyczce. Stara szkoła niemiecka, równająca się nowej szkole p. Cejzika — uległa po Olimpiadzie berlińskiej pewnej zmianie — i to właśnie w **wahadle**.

Dawne długie wahadło (nie mieszać z dalekim wahadłem, uzależnionym od odbicia) zostało **skrócone** przez ugięcie nóg w kolanach i biodrach.

W numerze 10. wyraźnie pisałem, co celowo opuścił p. Cejzik, że „po silnym odbiciu się następuje wahadło“.

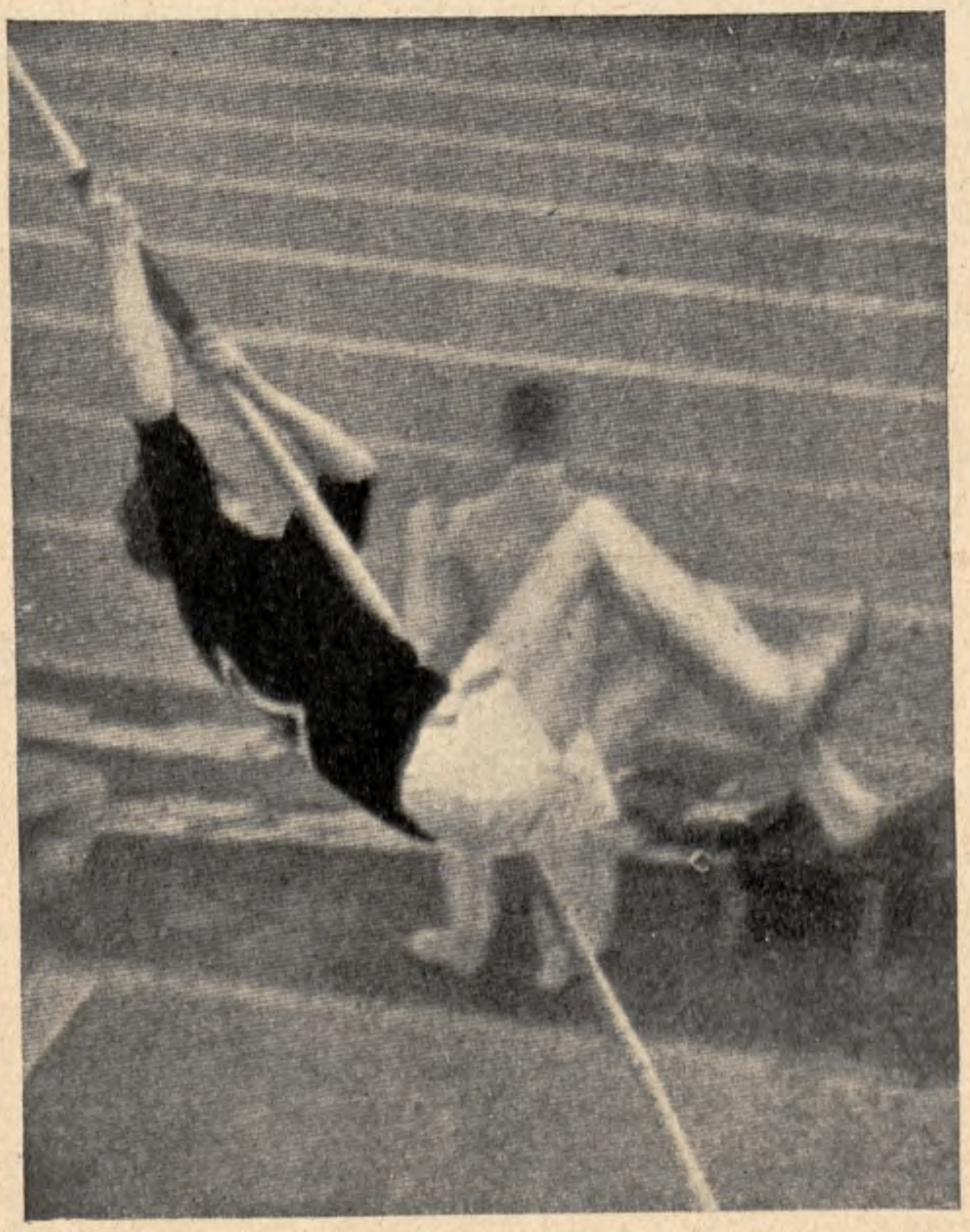
Skoczek **zwisa swobodnie na tyczce** na ramionach lekko ugiętych. Nie ma dobrego skoczka, który by przez moment nie zwisał zupełnie luźno na tyczce. Dotąd wszystko w porządku. Różnica w poglądach z p. Cejzikiem następuje dopiero teraz.

W czasie wahadła ma nastąpić u skoczka według p. Cejzika „ściągnięcie w dół i rozluźnienie nogi zamachowej“.

Najpierw pragnę wyjaśnić, że o jakimkolwiek ściąganiu w dół nogi — jako o ruchu wstecznym, przeciwnym kierunkowi ruchu — mowy być nie może. Dopuszczalne jest tylko „rozluźnienie“ mięśni tej nogi, co istotnie niektórzy stosują, szczególnie w Europie. Wszyscy jednak Amerykanie i Japończycy na Olimpiadzie w Berlinie skakali inaczej: przy odbiciu następował silny zamach nogi wymachowej (kolano mocno skurczone) w górę. Nogi tej nikt nie opuszczał już w dół. To jest jedna różnica.

Druga — ważniejsza — że podczas gdy Europejczycy zwisali bardzo długo zupełnie wyciągnięci na tyczce (przede wszystkim chodzi o nogę odbicia) — Amerykanie i Japończycy zwisali tylko przez moment. Jest to tak zwane **„krótkie wahadło“**, stosowane powszechnie w Ameryce. Ostatnim wybitnym tyczkarzem skaczącym długim wahadłem w Ameryce był Miller — zwycięzca w Los Angeles.

Krótkie wahadło uwarunkowane jest bardzo szybkim wyprostem tyki, spowodowanym „sprinterskim“ rozbiegiem i wysokim wybiciem się przy stosunkowo niskim uchwycie tyczki. Dla przykładu podaję, że Mucha chwyta tyczkę wyżej od rekordzistów świata.



Nishida.

Gdy ugięte nogi znajdowały się w czasie wahadła przy tyczce — następował wyrzut ich w górę a równocześnie z tym ruchem energiczna i gwałtowna praca ramion wciskających w dół tyczkę. Przez ten ruch wychodzili wszyscy do „stójki“ i barkami byli przy tyczce.

Skok o tyczce rozpoczyna się wahadłem, ale kończy się zupełnie inaczej — stójką. To jest tajemnica skoków cztery i pół metrowych.

Wszyscy tyczkarze będąc na granicy swych możliwości przybliżają stojaki. Tak czynił Nishida (gdy próbował w Budapeszcie przejść 4.35) tak samo Meadows, gdy atakował 4.45 w Berlinie. Rzecz zupełnie jasna i prosta, że przy niższych wysokościach wystarczy tyczkarzom samo prawie wahadło i stojaki mogą być wówczas dalej odstawione. Stąd złudzenie p. Cejzika.

Posłuchajmy co mówi o wznoszeniu kolan trener amerykańskiego uniwersytetu w Detroit L. Holmes, który już niejednego tyczkarza doprowadził do wyników powyżej 4 metrów.

„Przeprowadzałem bardzo dużo prób i doświadczeń z podciąganiem kolan na wysokość twarzy i przekonałem się, że działa to wprost cudownie na poprawę wyniku skoku. Stąd przecież można wyjść bardzo łatwo pionowo w górę dzięki równoczesnej gwałtownej pracy ramion i nóg (kopnięcie w górę)“.

P. Cejzik pisze: „wbrew utartym poglądom, że trzeba być dobrym przyrządowcem lub conajmniej Sokołem, żeby nadawać się na tyczkarza, twierdzę, że najzdolniejszy i najodpowiedniejszy do tyczki element znajduje się w rzeczywistości poza nawiasem gimnastycznych organizacji“.

Twierdzeniem p. Cejzika cofamy się o 15 lat wstecz. Dla każdego lekkoatlety, a szczególnie dla tyczkarzy, przygotowanie gimnastyczne jest niezbędne. Przeważającej ilości naszych lekkoatletów brak właśnie tego wszechstronnego wyrobienia gimnastycznego i sportowego. A tylko na takim podłożu budują najlepsi **lekkoatleci-specjaliści** swe wyniki.

Sznajder, Kluk, Morończyk, Adamczak, Majtkowski — to wszystko sokoli. Przecież bez silnych barków i mięśni grzbietu jest nie do pomyślenia wyrzut tułowia w górę po najlepiej wykonanym wahadle. Jeśli p. Cejzik głosi co innego, dlaczego nie wykrzesał dotąd żadnego tyczkarza z poza organizacji gimnastycznych — choćby na 3,50 metra.

Ale służmy innym dowodem. Posłuchajmy, co mówi **trener amerykański Cromwell,** któremu zawdzięczają swe fantastyczne wyniki nie tylko najlepsi tyczkarze świata, ale i cały szereg innych rekordzistów świata z Paddockiem i Houserem na czele.

W Berlinie, na Olimpiadzie startowało 11 jego uczniów: Draper, Carpenter itd., a między nimi cała trójka fenomenalnych reprezentantów Ameryki w tyczce. Jego zdanie powinno być dla wszystkich autorytatywne.

Otóż Cromwell — najlepszy bodajże trener świata (praktykuje od lat 30) największy nacisk kładzie na siłę (szybkościową) u swoich wychowanków. **W zimie zaleca dużo gimnastyki, przy czym nie pogardza bynajmniej gimnastyką przyrządową a nawet gimnastyką z ciężarem, zarówno dla biegaczy, jak i skoczków czy miotaczy.**

Cromwell — trener mistrza olimpijskiego z 1924 roku, trener obecnych rekordzistów świata Meadowsa i Seftona (po 4,54) i byłego rekordzisty Grabera oraz nowej wielkiej gwiazdy Day‘a — **nie uznaje treningu tyczkarza bez gimnastyki na drążku, poręczach czy linach,** a więc na przyrządach, które obok siły dają zręczność i opanowanie całego ciała. Nawet sam Hoff mawiał, że tyczkarz musi posiadać **artystyczne wprost opanowanie całego ciała.**

A propos wzrostu Hoffa i Meadowsa grubo się p. Cejzik omylił. Meadows wcale nie jest o pół głowy wyższy od „wy-

jątkowo szczupłego i wysmukłego Hoffa", lecz wzrost ich jest co do centymetra równy i wynosi po 183.

O ile można mówić o słabej budowie Hoffa, to nigdy nie da się tego powiedzieć ani o jednym tyczkarzu amerykańskim. Wszyscy — jak jeden mąż — są silni, dobrze zbudowani i doskonale wyrobieni gimnastycznie, przy czym odznaczają się szerokimi barkami i pięknie wyrobioną obręczą barkową. Co dalej, Meadows jest o 10 prawie kilo cięższy od Hoffa, który przecież miał być tej samej — typowo — budowy. Jest chyba pewna różnica w boksie między wagą półśrednią a półciężką. Wszyscy ze znanych mi amerykańskich tyczkarzy, to wagi ciężkie w boksie lub co najmniej półciężkie.

Japończycy, choć ważą b. mało (Nishida 61, Ohye 60 kg), „górę" mają dość silną w stosunku do całej budowy i wagi ciała. Zwracają również baczną uwagę na jej wypracowanie. Wiem o tym z rozmów **prowadzonych z samymi Japończykami,** władającymi coś niecoś językiem niemieckim, jakkolwiek rozmowa przychodzi im b. trudno.

Pewnego razu w ciągu jednej godziny wspólnie z „kolegą po fachu" tak wymęczyliśmy pytaniami Japończyka, że odszedł od nas spocony, jak gdyby opuścił łaźnię parową.

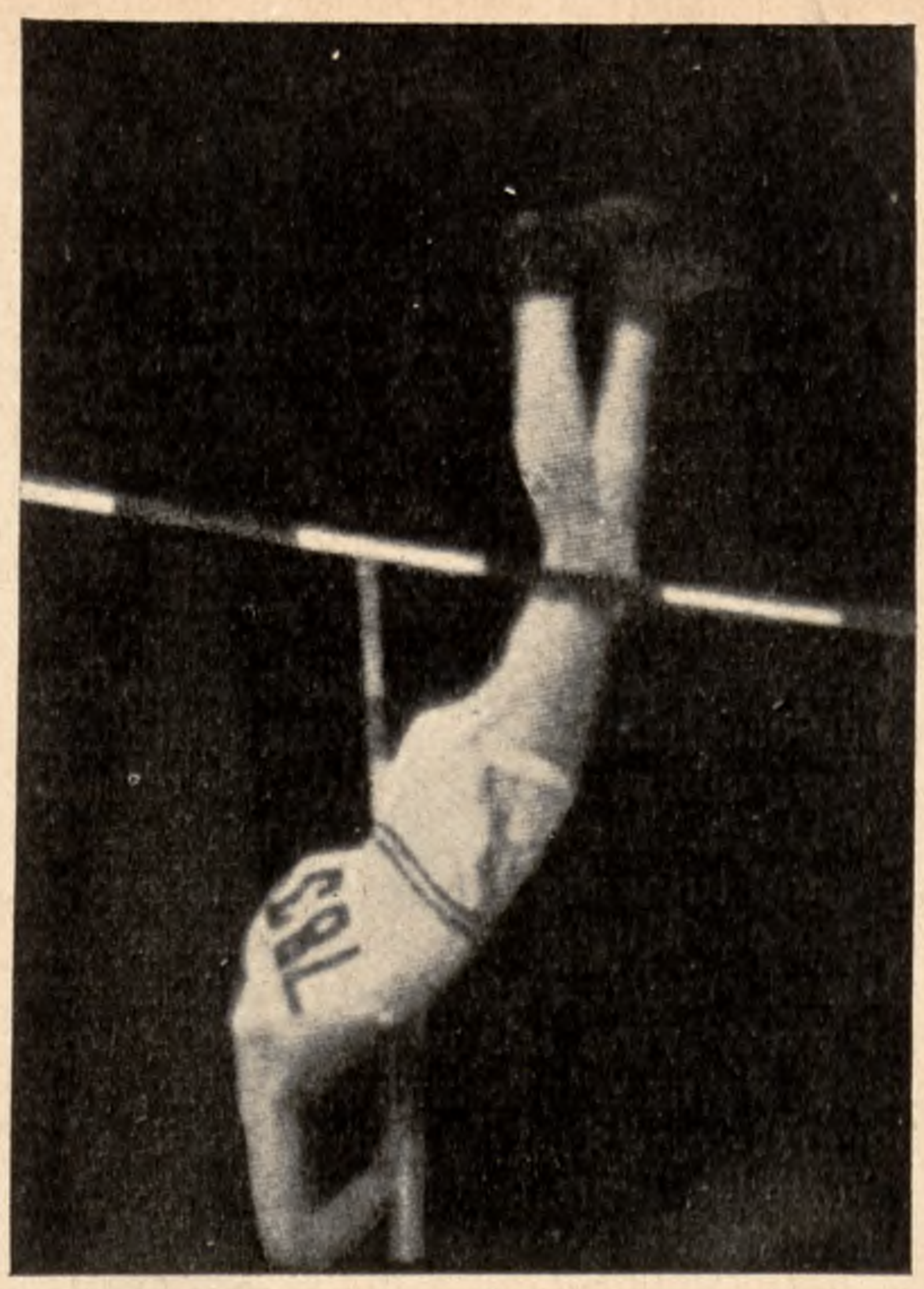
Ale wracam do tyczkarzy amerykańskich. Sefton i Meadows swe fantastyczne rekordy uzyskali w roku ubiegłym w kwietniu, a więc wówczas, kiedy rozpoczynał się dopiero sezon...

Gdzież leżała „tajemnica" ich wyników?

Odpowiadają na to pytanie sami: „Wyłącznie tylko intensywna gimnastyka przyrządowa i siłowa w sezonie zimowym doprowadziła nas do takich rezultatów. Ćwiczyliśmy intensywnie na poręczach, drążku, wspinaliśmy się wiele razy po linie, rwaliśmy ciężary i wykonywaliśmy wszystko, co wzmocnić mogło by nasze barki, krzyż, a przede wszystkim ramiona, ażeby poprawić w nich sobie siłę skoczną".

Bo nie tylko potrafią oni biegać na rękach, ale i skakać — **dosłownie skakać na rękach,** gdyż rozporządzają taką siłą wyprostną ramion.

Czyż więc jest do pomyślenia słaba „góra" tyczkarzy amerykańskich?



Meadows.

Czy ta sprężystość i siła ramion nie umożliwia skoczkom przechodzenie wysokości wyższych do 80 cm od uchwytu górnej ręki na tyczce, wysokości o których nie możemy na razie myśleć?

Kroczmy drogą dobrych i wypróbowanych wzorów.

Na zakończenie podkreślam: tylko sportowiec posiadający **dobry sprint, wielką skoczność i przy tym dobrze przygotowany gimnastycznie** może myśleć o wynikach 4,20 i wyżej.

A takich tyczkarzy nam potrzeba. **„Star".**

CO PISZĄ INNI?

W biuletynie lwowskiej „Pogoni" czytamy następujący felieton:

„Grzechem było by, opisując niektóre charakterystyczne typki klubowe, nie wspomnieć o... ambasadorach Jego Królewskiej Mości. Dygnitarze ci to nieoficjalni dyplomaci (częściej: dyplomatołki!), którzy swoją krecią robotą sieją nieporozumienie między zarządem a wybitniejszymi zawodnikami klubu.

Jak to się dzieje?

Rzecz prosta: do każdego światła garną się przede wszystkim ćmy, komary i inne pasożyty. Podobnie ma się rzecz i w sporcie. Aureola otaczająca asa sportowego jest nieodpartą przynętą dla kibiców, którzy za najwyższy sobie zaszczyt poczytują, gdy mogą asowi rękę podać i słów kilka z nim zamienić.

O czym może z asem rozmawiać taki typek?

Oczywiście, najpierw zaczyna się od „kadzenia":

— Jest pan świetny! Niezrównany!! Grał pan cudownie!! Był pan najlepszy na boisku!!!

Komplementów chętnie się słucha. Zwłaszcza, gdy jest się młodym.

To też as sportowy, mile połechtany w swej ambicji, staje się dla kibica łaskawy, chętnie przebywa w jego towarzystwie i z czasem zaczyna się przed nim zwierzać ze swoich planów, zmartwień i kłopotów.

Kibic, któremu już wyczerpał się zapas pochlebstw, wysuwa teraz na tapet inną sortę rozmówek:

— ...pan tak źle wygląda... pan jest przemęczony... pan jest chory... pan potrzebuje wypoczynku w jakiejś miejscowości klimatycznej... pana krzywdzą... pana nie doceniają... zarząd klubu nie rozumie się na rzeczy, a przecież forsę na panu zbija...

Te i tym podobne sugestie podsuwa asowi taki podjadek. W swoich propozycjach i radach jest on nader hojny i szczodry. Nic dziwnego. Przecież to i tak nie z jego kieszeni! To przecież klub zapłaci!

A klub nie może, bo kasa pusta i weksle zaprotestowane! I cóż się dzieje?

Taki as, zresztą najporządniejszy pod słońcem człowiek, uwierzył wreszcie, że „krzywda mu się dzieje". Zaczynają się kwasy, dąsy i fochy. As wstrzymuje się od treningów i startów i nie pokazuje się w klubie, a zamiast niego zjawia się... kibic? Nie! Już nie kibic, tylko — **ambasador Jego Królewskiej Mości!**

Przychodzi on do klubu pełen godności i łaskawie raczy pertraktować z niektórymi członkami zarządu:

— ...Pan X. zagrał by... owszem... ale **musicie panowie...**

I tu ambasador Jego Królewskiej Mości stawia klubowi warunki, o jakich as sportowy, jako amator, pomyśleć by się nie odważył! Przez pośrednika zawsze to lepiej da się wypowiedzieć Od tego jest przecież ambasador! A mąż ten jest bardzo **hojny!** Wszak to nie z jego własnej kieszeni! To klub zapłaci!

Pan ambasador robi co może, aby... „klubowi ułatwić sytuację". Działa przecież „tylko i wyłącznie dla dobra klubu" i bezinteresownie!

Aha, **„bezinteresownie"!** Przypatrzcie się kochani, ile to osób „szwarcuje na darmochę" na każdym meczu taki **Ritter Hugo von Freikarteneintritt, ambasador Jego Królewskiej Mości!**

Niestety, zbyt wielu takich ambasadorów mamy w Polsce..."

JAN O. RZUTOWSKI. 17

BILL PATRICK

— No, cicho tam, niech gospodarz czyta, burknął gruby Tom. Marynarze zamilkli i skupili się wszyscy przed ladą. Wtedy Pat O'Rourke triumfalnie wyciągnął olbrzymią płachtę „Boston Messager", wdział z namaszczeniem wielkie rogowe okulary i zaczął donośnym głosem skandować, od czasu do czasu rzucając wokół siebie badawcze spojrzenie, aby sprawdzić, jakie wrażenie wywiera artykuł.

„...Ojciec Billa był nieugiętym bojownikiem o niepodległość Irlandii. Rząd angielski wyznaczył za jego głowę olbrzymią nagrodę. Nie chcąc ustąpić przed przemocą, stary patriota opuścił kraj rodzinny i rozpoczął tułaczkę po świecie, głosząc wszędzie hasła wolności. Musiał wreszcie schronić się w borach dalekiej Polski. Tam urodził mu się syn, który otrzymał tradycyjne irlandzkie imię Patrick. Nie orientujący się urzędnik stanu cywilnego wschodniego mocarstwa wpisał do ksiąg „Patrick" jako nazwisko. Młody Irlandczyk często uważany jest przez nieświadomych prawdy za Polaka. Jednak, choć tam przebywał, pozostał wierny ideałom swego szlachetnego ojca, nad grobem którego uroczyście przysiągł, że do końca życia nie będzie nigdy myślał o niczym innym, jak tylko o przysporzeniu sławy Zielonej Wyspie.

W wolnej Ameryce, Bill Patrick będzie mógł, jak nigdzie indziej, plan swój realizować. Poprą go niezawodnie liczni rodacy zamieszkali w Gwiaździstej Republice. Syn bohatera narodowego, który mimo tylu lat spędzonych na obczyźnie wraca na łono swego narodu, choć prawie nie zna jego języka — nie może czuć się osamotniony. Kolonia Irlandzka w Ameryce pokazała już zresztą, że umie ocenić prawdziwą cnotę: Bill Patrickowi okazano już wiele dowodów uznania, a dary dla niego napływają bez przerwy. Mecz bokserski Bill Patrick — Bob Smith, który się odbędzie za tydzień, przeistoczy się niezawodnie w wielką irlandzką manifestację patriotyczną. Wszystkie organizacje irlandzkie szykują się do godnego na niej wystąpienia..."

— No i co? Wygrałem zakład, hę?

— Do stu tysięcy raf podwodnych, — burknął gruby Tom, — a to ci historia! I pomyśleć, że ja o tym wszystkim nie wiedziałem! Ale ja się odegram! Ot, słuchajcie: ofiaruję dla tego naszego Patricka całą moją najbliższą gażę! Taki już jestem! I kupię bilet w pierwszym rzędzie, i będę tak krzyczeć, że mnie te wszystkie moczymordy z „Belfastu" na galerii usłyszą...

— Tylko nie na galerii, — wtrącił Pat O'Rourke. — Nie chcę waszych 10 dolarów, bo za taką radość, człowiek musi zapłacić. Kupuję dla całej załogi bilety na miejsca siedzące, i tyle! Ot co!!

— My się na takie załatwienie nie możemy zgodzić! Jak przegraliśmy, to znaczy przegraliśmy i musimy bulić. A jak pan nie chce tych pieniędzy i jeszcze bilety funduje, to my co innego zrobimy. Po prostu te 10 dolarów i to, cobyśmy wydali za karty wstępu — ofiarujemy dla Bill Patricka!

— Tak jest, jak żywo — podchwycili inni marynarze. Gdy wszyscy Billa podtrzymują, to miało by nas, właśnie nas zabraknąć? Żeby się różne szczury lądowe mogły potem mądrzyć? Niedoczekanie! Zrobimy zbiórkę na Billa, pokażemy, że jak chodzi o patriotyzm, to my... ho-ho!

— A jak nasz chłopak wygra, to mówię wam: będzie tu z nami razem siedział całą noc i ja będę fundował, odezwał się znowu gruby Tom. Niech wie, że irlandzcy marynarze potrafią uczcić syna bohatera!

•

W chwili, kiedy na ring mieli wejść aktorzy głównej walki wieczoru, na sali zawrzało. W różnych miejscach ukazały się irlandzkie chorągiewki. W pewnej chwili na najwyższym piętrze trybun rozległa się chóralna pieśń: „Come back to Erin..." Śpiewacy jednak ucichli, gdy w pierwszym rzędzie krzeseł wstał, trzymając w ręku olbrzymi bukiet kwiatów, gruby Tom i dał ręką gwałtowny znak przeczący.

Sam Bloomfield odezwał się do O'Connora:

— Widzisz, chłopak już jest przeze mnie doskonale wprowadzony. Cóż, nie szczędziłem pieniędzy na reklamę, nie liczyłem się z wydatkami...

— Znam się na tym. Za stary jestem lis, by się znaleźć we wnętrzu butelki. Jestem ostrożny, uprzedzam, i mogę ci sprawić niespodziankę. Zresztą... co tu dużo gadać, mnie obchodzi tylko, jak on się bije.

— Zobaczysz za chwilę. Zakładam się o co chcesz, że znokautuje Smitha przed końcem 3-ciej rundy.

— Ja bym się też o to założył! Przecież obiecałeś Smithowi pięćset dolarów.

— Nic podobnego. Nie potrzebuję uciekać się do takich kombinacji.

— A jednak się uciekasz! Lecz uspokój się. Obiecałem Smithowi 600 dolarów, jeśli dotrwa do limitu, a 750, jeśli wygra...

— Naprawdę? Po coś to zrobił, co za sens?

— Jest sens. Najprzód, jak mam towar kupować, to muszę sprawdzić, co jest wart. Lepiej stracić teraz 750 dolarów, niż potem tysiące... Po wtóre, moi agenci dostali polecenie, by się z tymi rozpętanymi przez ciebie Irlandczykami zakładali; podwójna więc korzyść.

— O co się mają zakładać?

— Że Smith wytrzyma 5 rund. Jestem skromny.

— Hm. To nie takie jeszcze straszne. Nawet... poczekaj! Zrobimy tak: Bill dostanie polecenie, by tego Smitha skrupulatnie oszczędzał aż do początku szóstej rundy. Wtedy ja nie zapłacę tych 500, ty zarobisz na zakładach i ani 600, ani 750 nie wydasz!

—Tak jesteś pewny?!

— Absolutnie. Patrick go zrobi zaraz w szóstej, jestem przekonany. Ten boy ma dynamit w każdej pięści. Co mówię — dynamit. To jest jakaś nitrogliceryna, czy tam nie wiem. Iperyt!

(C. d. n.)

TYDZIEŃ PO TYGODNIU



Wykop Mettkego, bramkarza Vorwaerts'u.



Marynowski na taśmie.

Pierwsza runda rozgrywek o **mistrzostwo świata w piłce nożnej** przyniosła szereg niespodzianek, które znacznie ożywiły zainteresowanie tą wielką konkurencją. **Remis Niemiec ze Szwajcarią 1:1** po przedłużeniu wywołał łatwo zrozumiałą sensację.

Kuba zaskoczyła Rumunów. Wywalczyła włącznie z dogrywką wynik remisowy **3:3** i w czwartek będzie obok powtórki Szwajcaria — Niemcy w Paryżu również ponowny mecz Rumunia — Kuba w Tuluzie.

Niespodzianką była **nikła wygrana Włochów z Norwegią** i po dogrywce **2:1.** Również trzeci mecz wymagał dogrywki. W normalnym czasie wynik **Czechosłowacji z Holandią** brzmi 0:0. W dodatkowych 30-tu minutach **Czesi** rozkręcili się na całego i **strzelili aż trzy bramki,** nie oddając Holendrom ani jednej!

Najlepiej spisała się dotychczas **Francja, która z Belgią wygrała 3:1,** no i naturalnie **Węgrzy, bijąc Indie Holenderskie 6:0.**

W następnej rundzie Brazylia grać będzie w Bordeaux z Czechosłowacją.

Sensacyjnie zapowiada się spotkanie Francji z Włochami w Paryżu. Kto wie, czy były mistrz świata, natknąwszy się na dobrze dysponowanych Francuzów, nie doczeka się detronizacji.

W drugiej czwórce Węgrzy czekają na wynik powtórki paryskiej, po czym ze Szwajcarią względnie Niemcami wyjadą do Lille. Szanse Węgrów będą o tyle lepsze, że przeciwnicy będą mieli w nogach czwartkowy mecz. W podobnej sytuacji znajdzie się Szwecja, która czeka w Antibes na zwycięzcę meczu Kuba — Rumunia.

•

Międzynarodowe zawody konne w Warszawie zakończyły się wielkim **sukcesem jeźdźców polskich.**

Konkurs o nagrodę Polski tzw. Puchar Narodów wygrał zespół Polski w składzie: **por. Skulicz** na „Dunkanie", **rtm. Komorowski** na „Zbiegu II" i **por. Pohorski** na „Abd El Krim'ie". Drugie miejsce zajęli **Niemcy,** przed **Turcją, Belgią, Francją** i **Rumunią.**

Nagrodę indywidualną P. Prezydenta R. P. zdobył **por. Skulicz.**

Konkurs Armii Polskiej im. Marszałka Piłsudskiego, który zaszczycił swoją obecnością **Marszałek Śmigły-Rydz,** przyniósł zwycięstwo **rtm. Hasse (Niemcy)** na „Tora" i Goldammer".

Mecz lekkoatletyczny **Prusy Wschodnie — Polska Półn.-Wschodnia** zakończył się pierwszym **zwycięstwem Polaków w stosunku 69:65.** Z ciekawszych wyników wymienić należy zwycięstwo **Gierutty** w rzucie kulą **15.66,** rzut dyskiem — **Fiedoruk 46.98 (nowy rekord Polski),** 100 m — **Zasłona 10.8** i skok wzwyż — **Rosenthal (N) 180 cm.**

•

Vorwärts Rasensport (Gliwice) rozegrał w Polsce dwa mecze piłkarskie. Niemcy zremisowali w Poznaniu z **Wartą 1:1,** przegrali jednak z **Polonią** w Warszawie **1:3.**

•

Wirkus i **Marynowski** startowali poza konkursem w biegu na 10.000 mtr na mistrzostwach klasy B w Warszawie. Zwyciężył nieoczekiwanie **Marynowski** w b. dobrym czasie **31:41,2,** bijąc Wirkusa o 4 mtr.

•

Jędrzejowska przegrała nieoczekiwanie w Anglii z Amerykanką **Marble 2:6, 3:6. Spychała pokonał** w Paryżu najlepszego gracza Francji **Petrę 6:4, 9:7, 9:7,** przegrał jednak z mistrzem juniorów **Abdesselamem 6:8, 8:10, 5:7.**



Zwycięska ekipa polska.



Z zawodów hippicznych w Łazienkach.

SZLAKI TURYSTYKI WODNEJ NA POLESIU

Czar Polesia pięknie opiewa poeta-geograf, Wincenty Pol w swej „Pieśni o ziemi naszej“, wprowadzając czytelnika w krainę wód, bagien, oczeretów i rokicin, pełną uroku i tajemniczości.

Wiele osób wybierając się do tego „dziewiczego lasu“ przygotowuje się na doniosłe odkrycia nieznanych ziem i ludzi. I o dziwo! Przypuszczenia się sprawdzają!

Kto bowiem wybrał się kajakiem w głąb tej krainy, płynąc setkami kilometrów dróg i drożyn wodnych, ten na pewno, znalazłszy się wśród najdzikszych mateczników, będzie miał wrażenie pobytu w jakiejś „terra incognita“.

Turystę zadziwi również tutejsza ludność, która stojąc na niskim stopniu kultury, nie jest w stanie opanować przyrody, odwrotnie, przez całe życie jest w ścisłej od niej zależności.

Można by powiedzieć, że żyje ona życiem nie swoim, lecz swych błot, borów i bagien.

Najbardziej rozpowszechnionym środkiem komunikacji jest tu od niepamiętnych czasów droga wodna. Na jarmark do miasteczka, z krową na pastwisko, do świątyni, czy też na wieczny odpoczynek na cmentarnym ostrowie płyną „czoweny“ „szuhaleje“ i „czajki“. Na połów wiunów, po siano na zalane łąki — przeprawiają się Poleszucy w łodziach czy „czubarkach“. Słowem Poleszuk rodzi się i wychowuje w „szuhaleju“ lub „czajce“.

Chcąc podpatrzyć życie i zwyczaje ludu bagiennego Polesia oraz przyjrzeć się prawdziwie dziewiczym ostępom, należy zrezygnować z podróży koleją, samochodem, końmi czy rowerem, a wsiąść w łódkę lub kajak i obrawszy punkt wyjścia — płynąć, płynąć naprzód. Na pewno podróż ta przyniesie każdemu turyście maksimum zadowolenia i pozwoli na przeżywanie naprawdę estetycznych wrażeń.

Każdy z nas dąży w czasie urlopu do odpoczynku, ciszy i odprężenia nerwów.

A czy nie da tego wszystkiego włóczęga po Prypeci, Jasiołdzie, Horyniu i Styrze?

Na pewno, a oprócz tego pozwoli na zwiedzenie szeregu historycznych miejsc na Polesiu, silnie wiążących tę ziemię z tradycjami Polski.

Aby przyjść z pomocą tym turystom, którzy zechcą wybrać się na Polesie kajakami, główne szlaki wodne zostały odpowiednio zagospodarowane, urządzono przy nich ponad trzydzieści schronisk i stacji turystycznych oraz ustawiono kilkaset znaków drogowskazowych i informacyjnych. Schroniska turystyczne mieszczą się w specjalnych budynkach, posiadają doskonałe wyposażenie jak łóżka, szafy, bieliznę pościelową itp.

Stacje turystyczne mieszczą się przeważnie w pustych przez lato budynkach szkolnych i są dużo skromniej urządzone.

Celem zorientowania miłośników kajakarstwa w poleskich szlakach wodnych przytoczę poniżej parę informacji, które ułatwią wybór tych szlaków.

W tym miejscu chciałbym podkreślić, że Polesie spodziewa się szeregu wycieczek zagranicznych z Belgii, Niemiec i Anglii, które przybędą w tym sezonie i wyruszą na włóczęgę wodną po egzotycznych szlakach. Dowodem popularności poleskich szlaków wodnych może być również fakt zwracania się z zapytaniem i prośbą o informacje do Poleskiego Związku Popierania Turystyki przez licznych kajakowców indywidualnych z całej Polski.

Przechodząc do informacji muszę przede wszystkim wyjaśnić, że specjalna struktura topograficzna Polesia utworzyła krainę geograficznie idealnie przystosowaną do turystyki kajakowej.

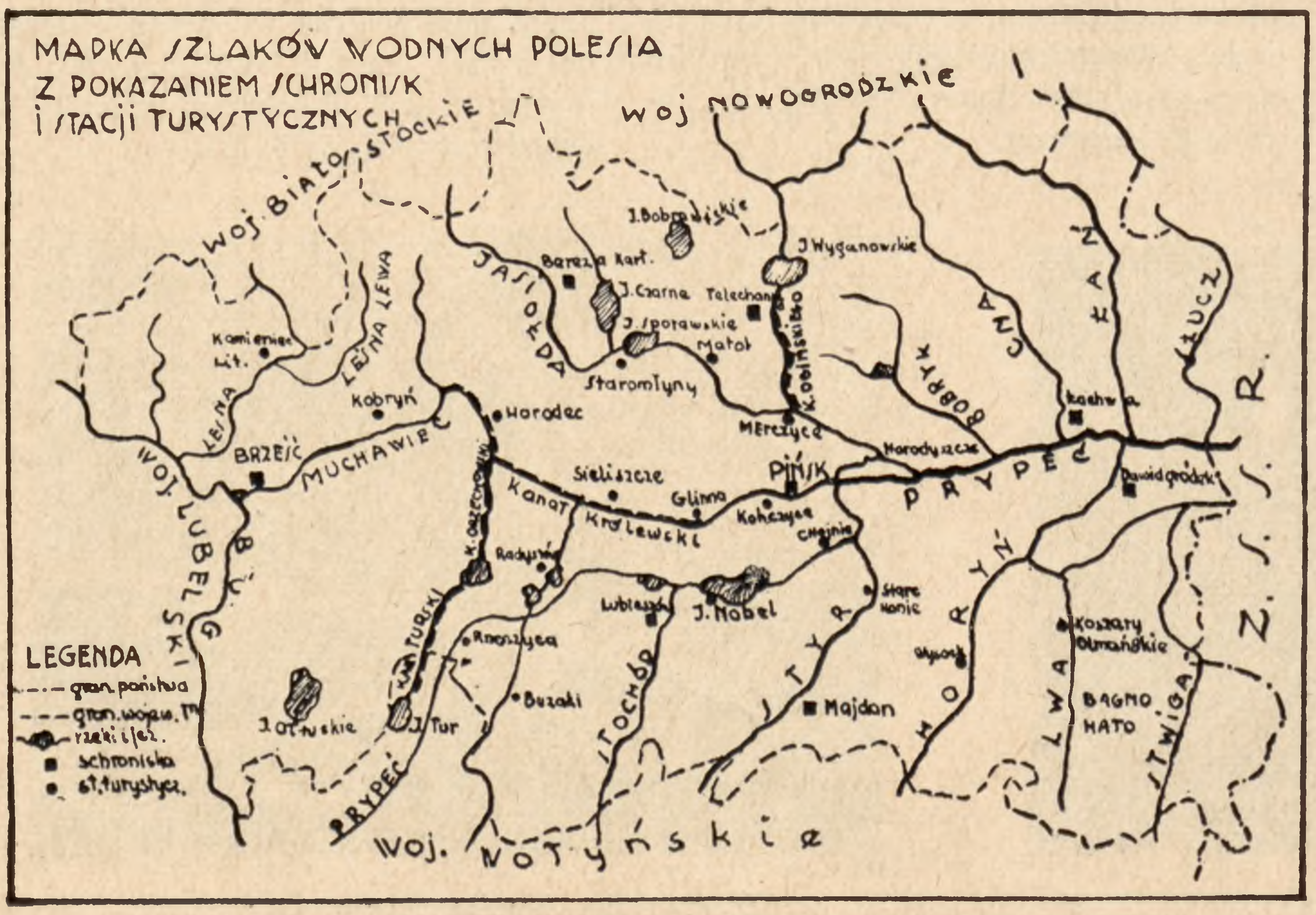
Koryta rzek rozdwojone i splątane tworzą siatkę linij, a nie mając zdecydowanych kierunków płyną powoli, błądząc jak gdyby wśród bagiennych obszarów, lasów i piasków.

Zasadniczo Polesie posiada trzy główne szlaki wodne: Kanał Królewski (211,7 km) w skład którego wchodzą skanalizowana rzeka Muchawiec, Kanał Królewski i skanalizowana rzeka Pina; szlak Prypeć — Horyń (197 km), utworzony z rzeki Prypeci, zwanej również „Strumieniem“ na przestrzeni od Pińska do połączenia z Jasiołdą, a dalej — aż do połączenia z Dniestrem, Prypecią oraz rzeką Horyń. Następnie szlak Jasiołda — Kanał Ogińskiego (102 km), rozpoczynający się w Pińsku, prowadzi Jasiołdą przez Telechany i kończy się na jeziorze Wyganowskim, które łączy się dalej przez Szczarę z Niemnem. Najciekawszym i najbardziej typowym jest bez wątpienia szlak Prypeć — Horyń, prowadzący przez Pińsk, Kaczanowicze, Bereżce z mieszkańcami pochodzenia tatarskiego, przewóz łachewski, Dawidgródek, założony w X wieku przez księcia Dawida, z ciekawymi ruinami kasztelu obronnego, maj. Mancewicze, siedziba ordynacji Dawidgrodeckiej ks. Karola Radziwiłła, Wikarewicze, gdzie znajduje się ujście kanału, łączącego rzekę Lwę — bodaj najbardziej egzotyczną rzekę poleską — z Horyniem, i wreszcie Horyń.

Wspominając o tym szlaku, muszę wyjaśnić, że połączenie Horynia z Lwą za pomocą kanału jest dość problematyczne i w czasie przejazdu trzeba kilka razy nieść kajak na przestrzeni paru kilometrów po brzegu ze względu na zamulenie dna i niski poziom wody. Jednak trud ten sowicie się opłaci, gdy znajdziemy się na Lwie; tak ładnych widoków i tylu prawdziwych, należących już do rzadkości azalii nigdzie nie znajdziemy.

Jednym z ciekawych szlaków jest szlak rzeką Zegulanką (dojazd koleją do Kosowa, a stamtąd parę kilometrów końmi) przez jezioro Czarne, jezioro Sporawskie na Jasiołdę i dalej Prypecią na rzekę Łań czy też Horyń.

Poza tym na uwagę zasługują następujące szlaki: Prypeć Górna — Kanał Białojezierski (151 km), szlak trudny, lecz piękny i bardzo ciekawy. Szlak Kanałem Turskim i Kanałem Orzechowskim (69 km), szlak Jasiołdą do Pińska (148 km),



szlak rzekami Bobryk i Wiślica (70 km) oraz szlak rzeką Cną, oddający najbardziej egzotykę Polesia.

Kajakowcom radziłbym wybrać szlak Prypeć — Horyń, Prypeć Górna — Kanał Białojezierski oraz szlak rzeką Cną, a na pewno podróże te przyniosą im szereg emocji i pozostaną na długo w pamięci.

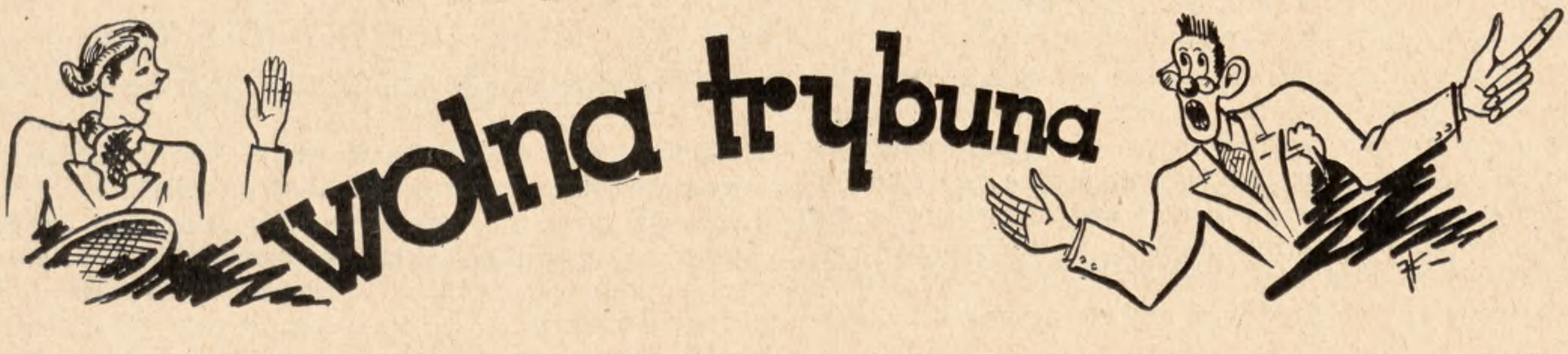
Opis mój nie byłby zupełny, gdybym pominął jeziora poleskie, bez zwiedzenia których włóczęgi wodne nie mogą być uważane za dostatecznie bogate w wrażenia.

Jezior Polesie posiada wiele, między innymi jezioro Czarne, Białe, Tur, Bobrawickie, Horodyskie, Wyganowskie i wiele innych mniej znanych, jednak bardzo pięknych i obfitujących w wielkie ilości ptactwa wodnego.

Przytaczając tych kilka uwag i informacji o możliwościach turystyki wodnej na Polesiu, żywię nadzieję, że przyczynią się one do zwiedzania przez rzesze turystów romantycznej krainy, oczekującej gościnnie ciekawych wrażeń kajakowców.

Będzie to niezawodnie korzyścią i dla nich, i dla samego Polesia, któremu jasne barwy kajaków nadadzą rumieńców życia.

Tadeusz Dąbrowski.



„Walka radomskich „Czarnych" z „Granatem" w Skarżysku nie została dokończona, gdyż jeden z graczy przegrywających gospodarzy uderzył sędziego Pietrzykowskiego w twarz tak silnie, że ten nieprzytomny został zniesiony z boiska.

Brutalność i chamstwo na boiskach sportowych rzeczywiście zaczyna przekraczać wszelkie granice".

„W Tarnopolu, w czasie zawodów piłki nożnej między „Jehudą" a „Podillem", doszło do bójki między publicznością ukraińską i żydowską, której położyła kres zawezwana policja. Przyczyną bójki było orzeczenie sędziego meczu Oberfeszta, na niekorzyść Podilla".

„Mistrzostwa bokserskie w Łodzi nie odbyły się bez przykrego incydentu. Sędzia p. Zarzycki, przyznał zwycięstwo Vogtowi (Poznań) nad Kowalskim (Łódź). Ryki, gwizdy, rzucanie skórkami pomarańczowymi było reakcją publiczności na niesprawiedliwe orzeczenie sędziego. Następna para, Jańczak i Fiszer, dwukrotnie została spędzona z ringu. Zanosiło się na to, że zawody w ogóle się nie skończą.

Po dwóch godzinach publiczność wreszcie się wykrzyczała i zastygła w zapale. A gdy na ring wyszli Ożarek i ulubieniec Łodzi Pisarski, uspokoiła się zupełnie. Było to już po północy. Dzięki takiemu fortelowi uratowane zostały mistrzostwa".

Oto kilka wyjątków z pism codziennych, wyjątków, które wywołują falę oburzenia z nutą niepokoju: **co dalej?**

Postarajmy się na zimno zbadać przyczyny tego tzw. „chamstwa" na boiskach.

Kilka jest powodów zanieczyszczenia atmosfery zawodów sportowych. Chociaż będziemy je wymieniać po kolei, to jednak nie będą one uszeregowane z wyraźnym celem, bowiem tak jedne jak i drugie są jednakowo ważne i wiążą się ze sobą bezpośrednio.

Jedną z przyczyn wywołujących niezdrowe objawy jest złe zachowanie się zawodników.

Ludzie ci, zdawało by się, powinni mieć tę najlepiej pojętą atmosferę sportową w żyłach, jednak rzadko kiedy stają na poziomie swego zadania.

Klasycznym przykładem „złego zachowania się zawodników" w cudzysłowie, a nie w cudzysłowie chamstwa, jest przytoczona wyżej przez nas pierwsza notatka.

Może ktoś powiedzieć, że to była jednostka. O, nie! Przykre niewychowanie sportowe całej drużyny mieliśmy możność oglądać w dn. 24.IV.38 w W-wie na meczu A-kl. Legia — Okęcie. Po meczu „Okęcie" pozdrowiło gospodarzy, a ci pomimo nawoływań z różnych stron zeszli z boiska jak stado baranów...

Jakże inaczej przedstawiają się mecze międzypaństwowe. Pozdrowieniom, wiwatom, grzecznościom nie ma końca.

Dlaczego tam można się postarać o dobre zachowanie się sportowe, a gdzie indziej nie.!? Tak samo powinno nam zależeć na tym na każdym meczu.

Mamy wrażenie, że kierownictwa klubów za mało zwracają uwagi na wychowanie sportowe graczy.

To, że wydziały dyscyplinarne związków zawieszą gracza lub zdyskwalifikują go, nie odniesie pożądanego skutku.

Gracza czy zawodnika od początku trzeba właściwie wychowywać, a ambicją każdego kapitana sportowego winno być, aby jego drużyna zawsze grała „fair".

Drugą przyczyną zaburzeń na boiskach jest niewłaściwe sędziowanie. Do czego może ono doprowadzić przedstawia nam trzecia z przytoczonych wyżej notatek. Sędzia dźwiga na sobie wielką odpowiedzialność za właściwy poziom zawodów. Dobry sędzia utrzymuje „w ryzach" tak graczy-zawodników, jak i publiczność. Bynajmniej nie chcemy tu nikogo oskarżać, ale od dłuższego czasu powtarzające się „historie", wskazywałyby na obniżenie się poziomu sędziowania. Selekcja przy egzaminach sędziowskich powinna być znacznie staranniejsza. Dyskusja na ten temat jest tym bardziej przykra, że sam już wyraz sędzia przywiązany jest do osoby arbitra najbardziej obiektywnego, który potrafi wyzbyć się wszelakich pomyłek i stronniczości, oraz odpornego psychicznie na opinię zewnętrzną.

Należy również zrewidować sposoby sędziowania, aby nie było nawet sposobności do „nawalania" (np. sędziowanie w pię-

Każdy juniorek powinien czytać tygodnik „Sport Szkolny". Znajdzie w nim ogromną ilość pouczających i ciekawych wiadomości.

Każdy kierownik sekcji i każdy trener powinien prenumerować miesięcznik „Wychowanie Fizyczne". Znajdzie w nim ogromną ilość wskazówek praktycznych.

ściarskich zawodach, „po cichu"). Trzecią przyczyną zakłócenia atmosfery sportowej są braki organizacyjne.

Są to grzeszki b. częste, ale i bardzo dokuczliwe, tym szkodliwsze, że na publiczność działają wcale nie wychowawczo.

Tysiące widzów przyzwyczaja się do niepunktualności, zaczynając zawody z kilkugodzinnym opóźnieniem, — np. bieg sztafetowy Warszawa — Raszyn rozpoczął się o 2 godziny później. Wszelkie względy techniczne powinny być naprzód przewidziane!

Niewłaściwe zarządzenia porządkowe są powodem częstych zatargów. Zmiany programowe zawodów, np. w ogłoszeniu podaje się, że wystąpią mistrzowie Polski, a okazuje się, że w ogóle ich o udział nie proszono; psucie się głośników sprawozdawczych itp., to są te grzeszki organizacyjne.

Na koniec publiczność. Tu sprawa jest niezmiernie trudna. Najgorszym grzechem widzów jest ich jednostronna sympatia, która często przechodzi w szowinizm. Na międzynarodowych zawodach publiczność nasza trzyma się jeszcze jako tako. Natomiast na zwykłym meczu 2 klubów, sympatycy jednej strony potrafią być groźni dla przeciwników (2 wyjątki z prasy, przytoczone wyżej). Jeżeli wymagamy obiektywności od sędziego, musimy sami być obiektywnymi, aby nie utrudniać mu zadania!

Nie możemy być nieobliczalnymi! Butelki, jajka, owoce (Łódź, boks. mistrz. Polski) muszą zginąć raz na zawsze jako argument w rozgrywkach sportowych. Jeżeli mamy za dużo temperamentu, weźmy się sami do sportu!

Poza niebezpiecznym momentem, gdy publiczność reaguje krańcowo pod działaniem tzw. psychologii tłumu, trzeba przyznać, że odruchy publiczności są wywołane atmosferą, jaka panuje na boisku.

Publiczność jest na ogół dość sprawiedliwa (z wyjątkiem wspomnianego „szowinizmu" klubowego) reaguje zawsze na błędy sędziego lub graczy i dlatego to właśnie tak sędzia, jak i zawodnicy ponoszą odpowiedzialność za zachowanie się widzów.

„Chamstwo" musi zniknąć z boisk sportowych!

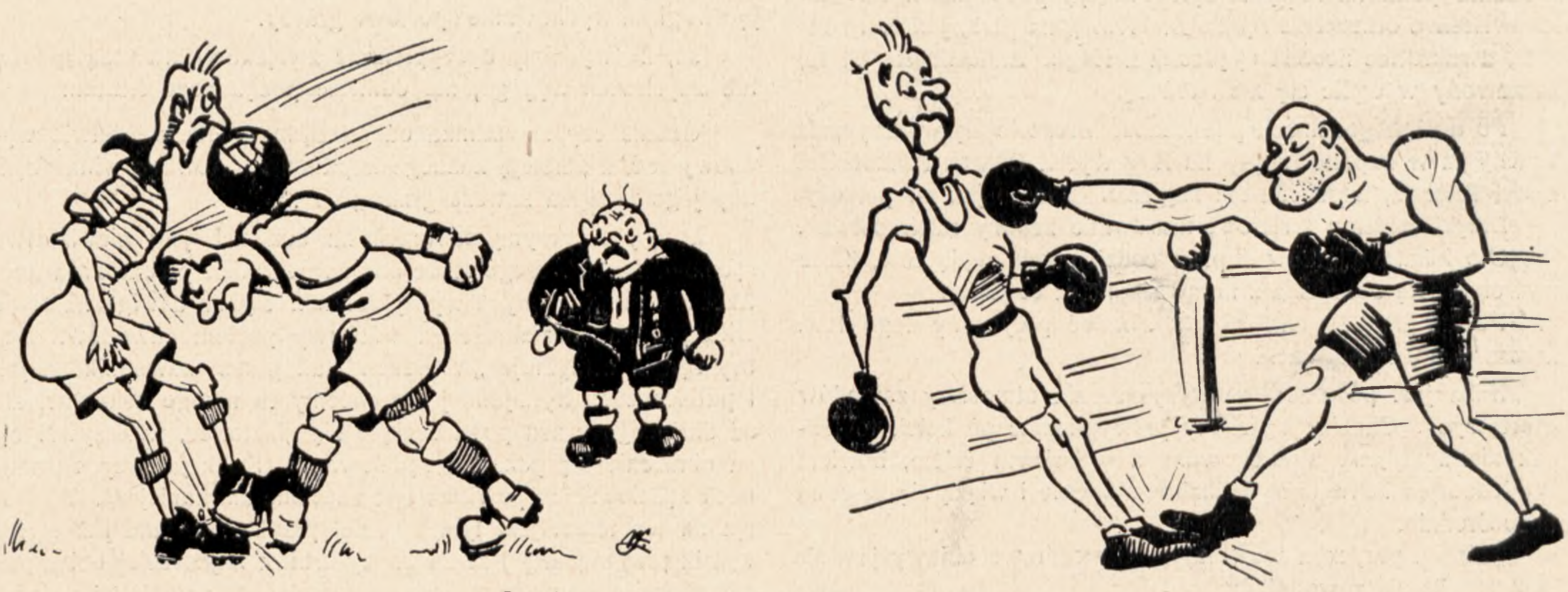
M. P.

VARTIAINEN O POLSCE.

W numerze 17 tygodnika fińskiego „Hakkapelitta" z dnia 26 kwietnia ukazał się artykuł p. Ilmari Vartiainena o sporcie zimowym w Polsce, pięknie ilustrowany zdjęciami z Zakopanego, Wygody i marszu narciarskiego Zułów — Wilno. Pan I. Vartiainen przebywał w sezonie zimowym w Polsce jako trener na kursach narciarskich i wrażenia swe opisał w wyżej przytoczonym artykule. Sprawozdanie świetnego trenera naszych narciarzy nacechowane jest gorącą sympatią do wszystkiego co polskie i entuzjastycznie omawia cały jego pobyt w Polsce z podkreśleniem Zakopanego i Wygody. Specjalny ustęp poświęcony jest marszowi narciarskiemu Zułów — Wilno. Artykuł Vartiainena niezawodnie wzbudzi w fińskich czytelnikach szacunek dla naszego kraju.

ted.

TROSZKĘ HUMORU



„Stoping w zastosowaniu piłkarza i pięściarza.

Redakcja, tel. 8-63-66 i Administracja, tel. 9-95-62, Warszawa, ul. Myśliwiecka 3

Oddział miejski Pl. J. Piłsudskiego 1 tel. 200-55.

Prenumerata roczna — 12 zł, dla klubów zrzeszonych w Zw. Pol. Zw. Sport. — 10 zł, kwartalna — 3 zł, miesięczna — 1 zł.
Pocztowe konto rozrachunkowe Nr 118 **Konto P. K. O. 13680**

Ogłoszenia: przed tekstem 1/1 300 zł, 1/2 150 zł, 1/4 80 zł, 1/8 50 zł. Za tekstem 1/1 250 zł. 1/2 130 zł, 1/4 75 zł, 1/8 40 zł.

Redaktor przyjmuje od 13 — 15.

REDAKTOR: WIKTOR JUNOSZA-DĄBROWSKI WYDAWCA: „KULTURA FIZYCZNA" sp. z ogr. odp.

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA", W-wa, Sienna 15, tel. 675-93